

Lic Pedagog

dp. 763

GRA FAL

62

M. GAWECKI

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

GRA FAL



WARSZAWA, E. WENDE I S-KA
Poznań, Fiszer i Majewski. Łódź, Katowice.
Ludwik Fiszer. Toruń i Siedlce, Tow. Wyd. „Ignis”

5-21

Odbito w Zakładach Graficznych
„Drukarnia Bankowa”

Warszawa
1925

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0170587

No 763



284442

b-21/05

Kardynał Murri położył gazetę na stole, wstał i przeszedł ku oknu. Spojrzał w dół na Tyber, wiący się nieopodal pałacu zielonomętными falami, w górę ku obłokom, lekkim wiatrem pędzonym i powtórzył wyraz przed chwilą, gdy kończył czytać, wypowiedziany: kanalia!

Powtórzył go z przyciskiem, ze złością.

— Kanalia!

Chciał patrzeć dalej przed siebie, ale nie mógł; mimowoli cofnął się od okna i znowu wziął gazetę w rękę.

...„Włos Damoklesa”...

Jakiś nowy pismak, jakieś nowe nazwisko, jakiś Łanowski, niewiadomo Moskał, Polak, czy Słowniec, w tym świstku anarchistycznym rzucił Rzymowi: „Czy widzisz cień włosa Damoklesa pod słońce?...”

Kardynał Murri nie był trwożliwy. Ogromny, silny, herkulesowej budowy, chłop kalabryjski rodem, miał się za potęgę, na której, jak na filarze wysokie sprawy świata oprzeć się mogą. Z wydeciem też zuchwałem wargi czytał wyzywające frazesy. Tylko — że czuł się pulsu, z którego wynikły, blisko...

Zwykle frazesy: „Jedna iskra...” „Podminowalście pod sobą sami — i jedni i drudzy... Jedna iskra... I jedni i drudzy jesteście jak w pędzącym po moście pociągu — potrzeba tylko jednego nacisku któregoś koła, pod którym nadpęknięta śrubka pęka — runiecie w otchłań, w odmet, z którego nigdy już nikt was do życia nie powróci... Jesteście przeznaczeni na zagładę...” Frazesy zwykle, tylko jakieś bezpośrednio...

Kardynał Murri położył gazetę po raz wtóry na stole i mimowolnie prawie spojrzął w lustro. Jego imponująca, smagła, wielka twarz o drapieźnym, orlim nosie i czarne ogniste oczy wyrażały wzburzenie ducha. Nikt nigdy nie śmiał tak wprost rzucić wyzwania w twarz. Do czego doszło! Co będzie?!...

Po przestrzeniach ziemi przelewały się fale. Jedni wznosili się i ginęli od wojen, inni kopali miny, albo stali na minach... Mniejsze narody i słabsze warstwy walczyły o życie, lub czekały na straszną walkę o nie; większe o wszystko...

Ksiądz Murri zdawał sobie sprawę z potęgi chaosu. Wiedział, że nadejść może dzień, w którym zarówno ten porządek świecki, o który opiera się rząd duchowny, jak i porządek duchowny będą musiały stawić czoło napierającym na nie z coraz większym zuchwalstwem naporom. Wiedział także, że dzień ten będzie ciężki nad wszelki wyraz. Hydra podziemna wybujała do jakichś potwornych rozmiarów. Ginęły w niej wszystkie na giełdzie politycznej notowane postępowe stronnictwa. Lęk i gro-

za ogarniały najdalej idących ideologów, wyznawców zawziętych i awanturników oficjalnego postępu. Gdy skład rzeczy w jednej stronie świata groził zawaleniem starej budowy, rzucał rakiety krwawego płomienia na rynki miast i przed uroczyste portale; gdzieindziej krew się lała w obronie swego bytu, swoich praw, swojej świętości domowej, swoich ojczyzn tem przeklętych, że mniejszych ludem i siłą.

Kardynał Murri byłby zmiął gazetę leżącą na stole, zmiął i zdeptał nogą, gdyby z niej nie widniała jakaś twarz prawdy, prawdy dla kardynała ohydnej, a jednak prawdy. Ten głupi świstek jakiegoś krzykacza działał na ogromnego kardynała jak jadowity wąż, którego trzeba zabić, a którego patrzące źrenice więżą i ubezwładniają fosforycznym, zagadkowym, niepokojącym i nie pozwalającym ani odejść, ani ruchu uczynić, spojrzeniem.

I cóż ta mała „Polka”, która tak często stara się go widzieć, a w której djabeł wie, co na dnie jej oczu niebieskich siedzi, oczu mdlejących często, ta ambasadorka swojej ojczyzny? Cóż ta księżna Dorota Korecka? Czy jest czas zajmować się gdzieś ludem jej w ucisku? A przecie nie można jej okazać nic, jak tylko niedostąpiony najwyższy, bezskazitelný władczy majestat.

Kardynał spojrzął na zegarek. Za chwilę miała wejść; za chwilę miała wszcząć się rozmowa, nie: czy, ale: ile władza uosobiona w purpurze kardynała może uczynić dla jej uciśnionej ojczyzny? Za

chwile piękna jej głowa na skończenie pięknem ciele pochyli się z zapytaniem i prośbą — i z wyrazem oczu, którego sam bóg z Olimpu nie umiałby nazwać. .

— otóż i wchodzi — — —

Kardynał uśmiechnął się lekko, poprawił włosy i zbliżył się ku drzwiom wchodowym. Za chwilę stanęła w nich młoda kobieta, lat mniej niż trzydziestu, piękna, dostojna i ślicznie ubrana.

— Czekam — ozwał się kardynał, posuwając się naprzeciw.

Gęsty woal zasłaniał twarz księżny Koreckiej. Suknię miała jasną, prawie białą i kapelusze ginący pod mnóstwem kwiatów. Ciężki złoty łańcuch obiegał jej szyję i zwisając przez biust wiązał ją w pasie. Rękę i stopę miała wąską, wysoka była i wysmukła.

— Słońce — rzekła księżna, odsłaniając powoli woal.

— Aby kwiaty kwitły —

— Dziękuję.

Roześmieli się oboje. Księżna usiadła na podsuniełym przez kardynała fotelu, kardynał Murri zajął miejsce naprzeciw, na kozetce.

— Rad jestem widzieć panią u siebie — rzekł, ujmując dłoń Koreckiej.

— Raczyłeś mnie zaprosić, eminencjo — odpowiedziała Korecka z pełnym wdziękiem pochyleniem głowy.

— Na Jowisza! Polskie damy są najpełniejszym wdzięku damami świata!

Księżna skłoniła się powtórnie głową.

Pod słońcem, padającym wprost z okien przyćmionych od góry roletą, widniała cała jej krasa; blada ściągnęła twarz, niebieskie matowe oczy, nos pięknie ku ustom zgięty, małe usta, małe uszy z rubinami w kolczykach i włosy blond, puszyste i jedwabne. Prawie biała suknia spięta była pod szyją agrafą z prześlicznych rubinów, rubiny lśniły w bransolecie i na główce parasolki. Bo księżna nie nosiła żadnych innych klejnotów tylko rubiny i stąd nazywano ją „rubinową“.

— Zjawisko — rzekł półgłosem jakby do siebie kardynał, patrząc na spływającą w falistych linjach z fotela ku dywanowi Korecką, jakby na obraz wielkiego mistrza.

— Eminencjo? — zapytała ona jakby nie słysząc co mówił.

Kardynał rozśmiał się wesoło.

— Na Jowisza! Dostałem lekcję! Wy, ludzie zimy, nigdy nie zrozumiecie południa. Wyda się wam zawsze za jaskrawe. Ale nie na to pora. Jestem niezmiernie szczęśliwy, że pokazać będę mógł księżnie kamee, dopóki jeszcze leżą na swoich miejscach — dokończył z uśmiechem.

— Albo? — zapytała Korecka.

— Nie trzeba daleko szukać.

— Czytałam.

— A zatem.

Korecka zamilkła na chwilę.

— To są czcze groźby — rzekła — wy jesteście

wieczni. Za wieczni i za potężni. Wszystko runie, a wy nie. Wy jesteście niedosiężni w swoim ogromie. Jednego się lękam: że zajęci sobą zapomnicie o tych, którzy was potrzebują.

Kardynał wstrząsnął głową.

— Będziemy robili, co mogli... Zresztą jeszcze czas, jeszcze czas — dodał, jakby nie chcąc dopuścić niemilej myśli — jeszcze wszystko daleko. To są jeszcze czcze groźby... Tygrys mruczy... Wasz nieszczęśliwy kraj jest zawsze tym Odysseuszem między Skillą a Harybdą, który przecież jakoś wypływa. Czyż utonął kiedy? Nigdy. Rozpogódź pani czoło. Gdzie rosną kwiaty, musi być wiosna.

— Odwracasz eminencjo bieg pojęć: gdzie jest wiosna: kwiaty rosną.

— Nic głupszego, niż logika. Dobre dla profesorów, ale ani dla dyplomatów — stuszował słowo — ani dla dyplomatek. A w tej roli zawsze mam cię honor widywać, mości księżno — dokończył z odzieniem humoru i grymasu.

— Nie może być inaczej — odpowiedziała Korecka.

Kardynał wznosił nieco piersi silniejszym oddechem, uderzył lekko palcami po stole i rzekł:

— Jesteśmy ofiarami, mościa księżno. Wielka Rewolucja Francuzka i duch Napoleona Wielkiego nie przestały działać. Nie odsunęliśmy się od tej epoki — my żyjemy w niej, jesteśmy tylko dalszym jej ciągiem. Świat, pchnięty przez te dwie potęgi z posad, toczy się dalej. Nigdy duch przeczenia nie

był tak silny, nigdy, gdzieś od czasów starego Rzymu, idea władcza nie była tak rozkrzewiona. Siew Rewolucji i Napoleona rozrósł się, gejzery rozlały się w morze. I te dwie sprzeczne moce, z których żadnej nazwać nie można Arymanem, ale obie razem dwulicym Ormuzdem, walcząc z sobą przywalają ciężarem świat. Kto nie poniósł szkody? Każdy. Ku czemu dążymy? Trzeba wierzyć: ku temu, ku czemu wszystkie przewroty i zapędy szły: ku uspokojeniu pod ciężarem wyższej nad nie konieczności: spoczynku organizmu ludzkiego.

— Jak sen po trudzie — — potem?...

Kardynał powstał.

— Potem — — — powtórzył, odrywając myśl.

— Czy dążymy do jakiegoś absolutu, syntezy, nie wiem jak nazwać, rezultatu? — mówiła Korecka.

Kardynał nie odpowiedział zrazu; przeszedł się po pokoju i zatrzymał koło stołu.

— Dalibóg, księżno — odrzekł — mówmy o czym innym.

— Przepraszam waszą eminencję. Wiem jakie sprawy leżą na jej barkach.

— Wytrwamy i przetrwamy... Chodźmy na ławkę. Potężne źrenice kardynała spoczęły na licu Koreckiej.

Korecka spuściła powieki i blady róż wystąpił na jej twarz; piersi wzruszyły się pod gorsem.

— Więc my będziemy czekali — rzekła z wysiłkiem.

— Czekaście i bądźcie pewni — odpowiedział kardynał Murri machinalnie.

Nurt Tybru począł się czerwienić od zachodu i pociągnął oczy przez otwarte okno. W kościele Świętego Piotra były dzwony.

Oboje przyklękli. Kardynał na jedno, Korecka na oba kolana, i poczęli się modlić pocichu, on po łacinie, ona po francusku. Księżna pierwsza wstała i jęła patrzeć na ogromną postać rzymskiego męża, który głowę skłonił, w jej stronę ją nieco chyląc.

Nurt Tybru zazielenił się i zazłocił. Blaski słońca zdały się upływać na wodzie, uciekać przed sobą i gonić jedne za drugimi. Światła jakby tonęły we wgłębieniach fal i znów wydobywały się na powierzchnię.

Kardynał nie podnosił się — z głową nieco w stronę Koreckiej zwróconą, klęczał i modlił się. Ona, niechcąc siadać, oparła się ręką o fotel.

Nakoniec Murri podniósł się i stanął w całej swej okazałej wysokości.

— Więc będziemy czekali — rzekła z cicha Korecka.

Ich źrenice spotkały się ze sobą.

— Otchłań! — szepnęła po polsku księżna, zapuszczając woal.

— Pani ucieka? Tak prędko? — zdziwił się kardynał.

— Powiesz, eminencjo — rzekła śmiejąc się Korecka — że słusność miał Kraft-Elbing twierdząc, że Polacy są największymi neurastenikami świata. Uciekam — przelekłam się...

— Czego? — zapytał kardynał.

— Nie wiem. — Posłuchaj eminencjo: onego czasu wyrósł na urwisku różany krzew. Padał nań deszcz, przetrwał burze i nawałnice i wichry. Lecz gdy grunt począł pod nim drzeć — bo to było w wazszych górach, nad ogniem — wówczas zadrżał i on.

— I? — zapytał kardynał.

— Nie wiem, nie wiem... Nic głupszego, niż logika. Dixisti.

Kardynał roześmiał się.

— Otóż bumerang, który wraca. Zatem?

— W poniedziałki i piątki przyjmuję zawsze — odparła Korecka — i czekam eminencję, ilekroć raczy mój dom zaszczyścić.

Stali naprzeciw siebie

— Czy nie zamało krwi, nie za wiele imaginacji?

Korecka przybladła; jej matowa cera straciła lekki kolor różu. Z pod opuszczonych powiek podniosła szafirowe oczy na kardynała, w których była i trwoga pewna i poszanowanie i nieokreślony wyraz głębokiego niewypowiedania się.

— Więc kamee moje? — podjął kardynał.

— Ah! — zawołała Korecka. — Wszak jam poto przysła... Przypominałeś mi, eminencjo, bez kamei świat Plutarcha.

— Lecz kamee są piękne.

— Nie chcesz słuchać mych pochlebstw, które nie są pochlebstwem, eminencjo. Wiesz, kim jesteś. Wierzę w ciebie.

Cień niecierpliwości przemknął po twarzy kardynała.

— Więc przyjdę jeszcze raz, jeśli pozwolisz, eminencjo — rzekła Korecka — przyjdę mniej znuzona słońcem.

Wyszła.

Kardynał patrzył, jak w ulicy wsiadła do powozu z głową schyloną, bardzo elegancka i smutna.

— Cygaro! — zawołał na kamerdynera, siadając głęboko w fotelu. Zapalił i puścił kłęb dymu.

— Dym, czy ogień? — mruknął niecierpliwie.

* * *

Zawierucha zbliżała się wielkim krokiem. Zawierucha zarówno międzynarodowa, jak i wewnętrzna — jakgdyby góry miały się walić ścianami przeciw sobie, a równocześnie rozpadać wewnątrz od wrzenia warów wnątrziemnych. Istota świata wzdragała się konwulsyjnie.

Bruzdy podłużne pomarszczyły czoło kardynała i zbiegły się wśród oczu.

Ileż chaosu — ile spraw... Zdają się chwiać wieże i baszty wszystkich wyniesień świata.

Fale oceanów, rozhuśtywane od rewolucji do rewolucji, od wojny do wojny, zdają się spiętrzać do ostatecznego ogromu. Budowa państw i społeczeństw zdaje się drzeć ostatecznie w posadach. Ów świat nowy, świat przyszłych długich stuleci, budzi się długim dniem... Odepchnąć go nie można — — niedoczekać trzeba...

Jedno jest niedosiężne: Rzym...

— Nie doczekamy! — rzucił półgłosem. — Przetrywamy!

Przeklęta myśl!...

— — — — —
...W poniedziałki i w piątki — — Synogarlica...
Da się to widzieć.

* * *

Nazajutrz po wizycie u kardynała, Korecka wstała wcześniej i wyszła na miasto.

Niesłychany błękit nieba rozpinął się nad miastem i nad kopułami kościołów, na które patrzyła z Monte Pincio.

Uczuła potrzebę jeszcze większego ciepła i słońca i morza.

Zanurzyć się w głębi...

Elektryczne wagony w parę godzin przewożą z Rzymu do Neapolu. Korecka pojechała na dworzec, siadła na kolej i za chwilę smuga tylko biała, zielona i kolorowa domów, pól i ogrodów mknęła przed jej oczami i niebieskie góry Albańskie i Lepińskie, Monti Albani i Monti Lepini, zdawały się uciekać i znikać z wejrzenia jak mgły.

Nie zatrzymała się w Neapolu, lecz siadła na kolej, wiozącą ku zatoce Gaetańskiej.

O cudowne morze, w którym każda fala jest szafirem w złoto oprawnym z przerzucanemi wstęgami ze srebra... Nadmierne, olśniewające światło zamroczyło oczy Koreckiej.

Rozbierała się szybko, kładąc na piasku sztuki ubrania i patrząc w widnokrąg, który zdawał się być przystanią blasku. Od morza ku niebu podnosił się nieobjęty, nieprzegarniony. Wyciągnęła ręce nad sobą i naga skoczyła głową wdół w głęboką falę.

Zapienilo się ponad nią, znikła w głębinie.

Woda zalała ją — wtoczyła się w uszy i nos. Korecka rozszerzyła ramiona i wypreżyła przygięte nogi — poszła w głąb.

Pod brzuchem i na grzbiecie czuła napór wód — pchnęła się naprzód raz, dwa, trzy razy dalej w głąb i dalej.

Lecz oddechu brakło — wychynęła na powierzchnię gwałtownie. Strugi morza zalały jej twarz; rozpuszczone włosy rozpięzły się wkoło ramion.

Wzniosła się pierściami ponad fale raz, drugi, trzeci. I czuła jak jest piękną.

Widziała swoją głowę w rozpięzchnionych, unoszonych przez wodę włosach, swoje niebieskie oczy w owilgłych, kroplami świecących rzęsach, swoje białe smukłe ramiona i białoróżowe pełne piersi, które morze kołysało na sobie.

Płynęła. Widziała w wyobraźni swój wgięty, jak wgłębienie, fali grzbiet, a całe jej ciało białe i nogi świeciły pod delikatną powłoką wody, jak przez muslin błękitny.

Ach! Gdyby przy cienkich kostkach u drobnym stop srebne skrzydele wyrosły...

...Und das hat mit ihrem Gesange
die Loreley gethan!...

Pusto było naokół. Morze spokojne. Zatrzymała się, zawisała na rozszerzonych rękach na morzu i rzuciła głośną ruladę w przestrzeń:

...Und das hat mit ihrem Gesange
die Loreley gethan!...

Gdyby ją widział teraz...

Fala wydała jej się gorącą, wnikliwą, pełną pożądań i szukania. Rozgięła ją krew. Głowę przechyliła wtył, wyciągnęła przed siebie ręce.

Gdzie spojrzała, wokół niej migotały fale, w ogromnej przestrzeni, równo z jej oczyma, mieniące się, łyskliwe i ogniste, jakby iskrami posiane...

Gra fal...

Lecz prąd wyniósł jej nogi. Padła nawznak i została dzwignęta wgórze, ukazując słońcu front ciała, jak front świątyni, z której bluszcze opadły. Uczuła się pod słońcem jakby ze złota ulana.

Do góry i wdół chybotwała się woda, wnikliwa, pełna pożądań i szukania...

Zda się, jakby dłonie jakieś ślizgały się po jej grzbiecie, od ramion ku pasowi, raz po raz...

Koreckiej wstrzymał się oddech w piersiach, czuła, że przestaje władać sobą i przekrećwiwszy się na brzuch, w paru susach znalazła się u brzegu i wyszła na piasek.

Słońce obległo ją blaskiem i gorącem.

Wysaczyła wodę z mokrych włosów i upierała się

poczem. szukając swego odbicia w morzu, założyła jedną rękę przed piersi, drugą przed łono, jak florencka Wenus medycejska.

Wyspa Ischia rosła naprzeciw z morza w nieprzeniknionej cichości, jakby ludzi nie było. I nie wydawały się ludzkiemi bardzo dalekie łodzie o białych, żółtych, pomarańczowych i czerwonych żaglach.

W błękitcie powietrza niby marmur różowy...

Ah! Gdyby ją teraz widział...

Ubrana, oparła łokcie na kolanach siedząc na kamieniu i na obu zwiniętych rękach oparła skronie.

Melancholja ją owładnęła.

Boże mój, Boże...

Boże...

Oto piękna młoda panna wstępuje w świat.

Pierwszy bal, pierwszy triumf, pierwsze królowanie.

A od pół, gdzie ciągnie wiatr, a od pół ciągnie woń...

Rozhukane, smukłonogie, giętoszyje bachmaty rzą u żłobu...

W pięknych frakach, pięknie na pośród głowy rozczesani, skłaniają się młodzieńcy.

Elegancy, dowcipni, światowi w każdym calu.

Jakieś upajające walce gra orkiestra.

Przechodzi z rąk do rąk, porywają ją, niosą, kręgi z nią zataczają...

Twarz za twarzą się mieni — ona nie widzi.

Słowa za słowami lecą — nie słyszy.

Zamęt czuje w głowie, gorąco w piersiach.

Przykro jej, że jej stan obejmuje, kto chce.

Patrzają na jej gors nagi, na jej ramiona obnażone.

Kręci się, wiruje, kołem biega...

Przesuwają się koło niej kobiece twarze, zaczerwienione, uśmiechnięte.

Nie uśmiecha się, a bladeść swoją czuje, mimo tańca.

Dwa fraki jakies koło niej — przywiódł ją ktoś pod rękę do stołu, posadzili ją, dali jeść i pić...

Brzęk, gwar, śmiech, słowa.

Mówią do niej — odpowiada.

— Pani mówi przez mgłę...

Wybuch śmiechu.

— Dorotko — mówi ktoś — obudź się!

Z balu na bal, z rautu na raut, z opery na operę, z koncertu na koncert...

Rok ósmnasty, dziewiętnasty, dwudziesty...

Warszawa, Paryż, Biarritz, Ostenda, Cannes — wszędzie to samo.

Nawet w domu bale, przyjęcia, polowania... Ale jest się tam kótłko. Wożą. Taniej kosztuje.

„Piękna, jak posąg, zimna, jak lód”.

Rok dwudziesty pierwszy, dwudziesty drugi...

Dwudziesty trzeci...

Niech będzie!...

Zostaje Dymitrową Korecką, panią trzech kłuczy, trzech pałaców i zamku w Korcu.

Niech będzie!

Pocziwy, głupi, duży, tłusty blondyn z oczami

karpia, gębą karpia i obwisłemi wąsami, lat trzydziestu pięciu wieździe ją do ołtarza.

„Dorotka zrobiła karierę...”

Spazmatyczny krótki wybuch śmiechu ogarnął księżnę Korecką na złomie Herkulaneum.

Niema dzieci.

I znów Warszawa, Paryż, Biarritz, Ostenda, Cannes...

„Rubinowa księżna” ma powodzenie — — kto się o jej względy nie starał?!

Karpia to nuży i nudzi — siedzi w Korcu i dropie strzela.

Szaleją za nią, giną, warjują...

Rok dwudziesty piąty, szósty, siódmy, ósmy...

I nikt! Żeby jeden człowiek! Nikt i nikt!

Żeby jedno w życiu zadrżanie serca, jeden nerw!

Nic i nic.

Szuka. Lecz nie uczuła potrzeby oddania się ani „wrzącym” Hiszpanom, ani „zadumanym” Szwedom, ani oficerom w Afryce. Zna cały świat, Egipt, Indje, Meksyk i Grenlandję — szuka miłości.

Szuka jej, pragnie, chce. Boi się, że umrze nie poznawszy miłości. Nie chce tak umrzeć.

Nabiera manier, przyzwyczajęń, zyskuje tytuł rubinowej. Innych kamieni nie nosi.

Rubinowa księżna...

Wtem jak posąg ogromny, stanął przed nią kardynał Murri.

Jego imperatorska, brutalnie silna twarz, jego ramiona atlety, oczy buchające ogniem i impozycja,

jego głos basowy, niski, głos wodza i rozkazodawcy, jego jakaś moc wewnętrzna, zaimponowały jej, skurczyły ją przed nim.

I pierwsza jej, nieświadoma myśl wobec niego, była: jestem mała...

Cofnęła się przed nim wewnętrznie przy pierwszym spotkaniu i złożyła mu głęboki, wewnętrzny pokłon.

Kardynał zaś wyróżnił ją z towarzystwa. Przystał ku niej, jak mocz, który nie zna oporu, spokojny.

I czarnemi swemi oczyma jakoby rzekł jej: pójdziesz za mną...

Korecka nie broniła się. Przeraziły ją dwie rzeczy: uczucie zupełnego zatracenia własnej woli i to, że kardynał był księdzem.

Jedno wydawało się jej straszne, drugie potwornem.

Bała się.

Poczuła się trawioną, przeszytą we wnętrznościach.

I po raz pierwszy poczuła się nieszczęśliwą.

Na gruzach Herkulaneum Korecka z łokciami opartemi na kolanach, z twarzą ukrytą w dłoniach patrzyła w morską toń i w swoją miłość bezdenną...

* * *

Drogi Panie! — pisała Korecka. — Siedzę w tym Rzymie, w tem wiecznym mieście i czuję się bar-

dzo nieszczęśliwa. Kiedyś, a może dopiero po mojej śmierci, dowiesz się Pan dlaczego?

Wolałabym być taką małą biedną, ubraną w paryskie suknie na podartych berdyczowskich halkach panną, którąś Pan znał przed laty, niż być jedną z pierwszych dam Europy i mieć krocie franków rocznie do wydania, jak obecnie.

Mam zwyczaj przychodzić do Pana z każdą rzeczą; przez długie lata przychodziłam z pustką. Listy moje zaczynały się i kończyły: pusto mi...

A teraz: boli mnie.

Dziwnie ten wyraz brzmi w moich ustach — prawda? Nie mam zwyczaju go mówić, naprawdę to i nie miałam powodu. Wyraz, do którego przywykły moje „malinowe wargi” — to była NUDA.

Piszę przez duże litery, jak u Wyspiańskiego w „Protasilasie i Laodamii”. On ją uczcił, jak należy.

Nudziłam się — — a teraz cierpię.

A dziwne to cierpienie — ono prze mnie do czynów nowych dla mnie!

Czy to Ajschylos pierwszy powiedział, że ból jest nauczycielem, albo twórcą, nie pamiętam, mądrości? Gdzieś to i Byron mówi.

Otóż nie uwierzy Pan, jak ja dojrzewam. Nie poznałby mnie Pan. I nie uwierzy Pan — ja chcę czegoś, chcę pracować.

Wydaje mi się, że na suchej roli miliony ludzi mrą od głodu, a ja stoję przy tamie rzeki i tylko potrzebuję usunąć zapórę, aby Nil życiodajny spły-

nął na spiekiełe pola i zaczęło się rodzić zboże. Zabawna pretensjonalność — prawda? A jednak ręka mi drży. Jeszcze źródła nie widzę, a już słyszę szum wody — — nadchodzi, płynie...

Wyobraź Pan sobie, drogi Panie, co może czuć ktoś, co, jak czarodziej jakiś, czarnoksiężnik jakiś potężny, osobą swoją, wolą i danemi swojemi naprowadza do wypalonego posuchą kraju ziomków swoich życiodajny Nil... Wyobraź Pan to sobie...

Tylko — — że ja o siebie drzę...

Wszak drzeć nie powinnam! Czemże jestem ja, ja jedna, z mojami rubinami, z dwiema mitrami książęcemi na aucie i krociami franków do wydania rocznie, wobec dwudziestu kilku milionów ludzi...

Gdyby mi wypadało iść na stos — nie powinnam się wahać...

A ja drzę, boję się, mam uczucie, jakby mi ktoś oczy zawiązywał i nad brzeg przepaści prowadził.

Ale przemiana odbywa się we mnie — moja ironja przeistacza się w smutek.

Boli mnie teraz każda tragiczna rezygnacja, każde wyrzekanie się siebie, każda tragiczna grzeczność — to w czym roślam.

Piszę, ale tylko „połową duszy”... „Biada, kto daje ojczyźnie pół duszy, a drugie pół dla siebie zachowa”... A jednak — — zatem biada! biada! biada! trzykrotnie biada na głowę moją...

Nie rozumiesz Pan nic, drogi przyjacielu — czujesz tylko, że mnie boli... Boli bardzo...

Tak boli, że chciałabym płakać, jak dziecko.
Sciskam Panu rękę serdecznie — — kiedyś, a może po mojej śmierci...

Do widzenia

Korecka.

Korecka złożyła list i zaadresowała: „Monsieur Seweryn de Toszczyński á Montreux”.

Stary przyjaciel... Jedyny, samotnik, „mnich”, gdzieś w górach rzucony, z nominalnem tylko mieszkaniem w Montreux. Szczęśliwy przy fortepianie, przy książkach i przy palecie, choć nie umie malować. Zawodowy dyletant w botanice, kunsztowny historyk. Trochę pieniędzy, trochę zaparcia się siebie, i jak na trochę piersiowego może najlepiej wybrał...

— — — — —
W szalonym zdenerwowaniu rzuciła się Korecka na kozetkę w swym buduarze, powtarzając prawie półgłosem: nie, nie, tak dalek być nie może!

Powróciła ze śniadania, gdzie był obecnym kardynał Murri i gdzie wiele rozmawiano o możliwych wypadkach politycznych. Śniadanie przeciągnęło się długo, była muzyka i śpiew, przyjechała do domu późno. Wtem kamerdyner oddał jej list ze szwedzką pieczęcią od Toszczyńskiego.

Rozcięła nożykiem od papieru kopertę. Toszczyński pisał:

Księżno Doroto! Cudnie tam musi już być w Rzymie, tu jeszcze zima na górach, śnieg. Ale zieleni się już świat dookoła, i wkrąg jeziora i kwiaty wio-

senne kwitną po lasach i pomiędzy kosodrzewiną, wśród której teraz mieszkam.

List Pani przyniósł mi zapach życia. Bo tu go niema. Samotność zupełna. Kilka osób z zarządu, trochę służby — to wszystko. Gdy chcę kogo zobaczyć, muszę zejść nadół, do wsi.

Ale schodzę mało. Im jestem starszy, tem lepiej mi samemu. Ludzie, zawsze mi obcy, z każdym rokiem bardziej obcy się stają. Gdy przejdzie epoka żądz i namiętności, a w naturze niema się ambicji znaczenia *między ludźmi*: to co pomiędzy nimi robić? „Dusza ludzka dopiero wtedy jaśniej widzieć poczyna, kiedy się bystrość młodych oczu zwolna zatracą” — powiedział gdzieś Sokrates.

Gdy woda w jeziorze przede mną, nisko kołysze się i szumi, pozornie niema nic więcej — ale ten szum wplata się w melodję lasu i w to powietrze grające wysoko w skałach i powstaje stąd cudowna harmonja atmosfery, ów „hymn świata”, jak go nazywają poeci.

„Cóż za ster mam na myśli? Oto wstyd i wstręt do postępów podłych i ambicję skierowaną do czynów pięknych. Bo bez tego nie dokona wielkich i pięknych dzieł ani państwo, ani prywatny człowiek.” —

— Ostro, stanowczo, energicznie! — zawołała Korecka, opuszczając rękę z listem na kolano. — Zgadł! Zrozumiał! Wiel!

Czytaliśmy to kiedyś, dawno — pisał dalej Toszczyński — a ja tę książkę mam z sobą i właśnie ją

niedawno przerzuciłem. Dziwnie tu wygląda Platon i jego ucztą ateńska pod szwajcarskim śniegiem. Ale prawda jest wszędzie jedna i we wszelkiej epoce: równie w piątym wieku przed Chrystusem, jak dziś, równie w Atenach, jak tu w górach, i równie wszędzie „dopiero życie jest coś warte, jeśli wogóle warte, gdy człowiek piękno samo w sobie ogląda”. „Gdyby komu było dane zobaczyć piękno samo w sobie, nieskalane, czyste, wolne od obcych pierwiastków, nie splamione ludzkimi wnętrznościami i barwami i wszelką lichotą śmiertelną, ale to nadświatowe, wieczne, jedyne, niezmiennie piękno samo w sobie... Czy myślisz, czyby mógł jeszcze wtedy marne życie pędzić człowiek, który aż tam patrzy i to widzi i z tem obcuje?...”

— Brutal! — krzyknęła Korecka, mnąc list. Ale po chwili szepnęła:

— Brutal — — albo przyjaciel...

Nagle z ulicy uszu jej dobiegły głośnie okrzyki roznosicieli gazet o niezwykłej porze. Powstała, podeszła i wychyliła się z okna pałacu.

— Dodatek nadzwyczajny „Trybuny!” — wrzeszczał chłopak. — Rewolucje i wojna!...

Korecką kurcz w gardle złapał, a razem unicruczomiło ją coś przy oknie. Uczucie, że coś otwiera się przed nią i wali na nią — otchłań jakaś i olbrzymie belkowanie ciemnej, wysokiej dzwonnicy.

Jakby siłą jakąś niezależną od siebie pchnięta, chwyciła kapelusz na głowę, wybiegła na ulicę

i wskoczywszy do pierwszego spotkanego fiakra kazała się wieźć do pałacu kardynała Murrego.

— Czy jego eminencja w domu? — zapytała lokaja.

— Tak jest, księżno pani.

— Czy przyjmuje?

Ogromny, potężny mąż wyszedł sam naprzeciw Koreckiej.

— Eminencjo! — krzyknęła ona prawie. — Eminencjo! Płomienie!

— Wiem — odpowiedział kardynał.

— Eminencjo! — zawołała Korecka z rozpaczą w głosie.

Kardynał rozwarł nieco dłoń.

— I my—chciał coś rzec, lecz przerwała w porywie:

— Wy zawsze zostaniecie, potężni, mocą wyższą, niż bieżące sprawy świata!...

Kardynał spojrział na zegar ścienny i rzekł ceremonjalnie:

— Wybacz, księżno, w tej chwili muszę jechać do Watykanu.

W oczach Koreckiej wymalował się bolesny zawód, kardynał to spostrzegł i biorąc ją za rękę rzekł z uśmiechem:

— Madame, Kościół pamięta o wszystkich wiernych.

Poczem skłonił się i cofnął w głąb apartamentu.

Korecka stała chwilę bezradna. Wydęła wargę, podniosła głowę do góry i szepcząc w myśli: — Ostatni raz! — bez spojrzenia na lokaja dała rozka-

zujący znak ręką, aby jej drzwi od schodów otwarto i wyszła za nie.

A gdy powróciła do domu i zerwawszy i rzucawszy kapelusz w kąt pokoju, usiadła z zagryzionymi ustami na kozetce w swym gabinecie, wzrok jej padł na list Toszczyńskiego. Wzięła go i poczęła czytać wyjątek z Platona: „Cóż za ster mam na myśli? Oto wstyd i wstręt do postępków podłych i ambicję skierowaną do czynów pięknych. Bo bez tego nie dokona wielkich i pięknych dzieł ani państwo, ani prywatny człowiek”...

Gorące, gorzkie łzy bluznęły z oczu Koreckiej, ale na chwilę tylko. Osuszyła je chustką, wyprostowała się na kanapie i poczęła patrzeć w ciemnię wieczorną w pokoju.

Przed jej oczyma zaś rozwinęła się jakoby droga, długa, wąska, jakoby przez step chmurny bieżąca, na końcu której majaczył krzyż, a po za krzyżem wdali niby świeciło morze, rzekłbyś z poza chmur przeblyskiwała fala ruchoma, mieniąca się, szklista... Korecka wyteżyła wzrok mózgu: na fali ujrzała jakoby siebie samą, kołysaną do góry i w spód...

Wyteżyła wzrok jeszcze bardziej, lecz wszystko zasnęło się mgłą.

— — — — —
Złowrogi powstał dzień. Stugłowa hydra pokazała głowę w stu miejscach... Kolosalne projekty dążą do ostatecznej realizacji. Ziemia drży pod nogami...

I gdzież to jednak zatrzymał się Attyla, „Młot świata” i „Bicz Boży”, kto go wstrzymał i u jakich bram? Oto starzec, biskup rzymski, Leon Wielki, stanął przed królem Hunnów i panem ziemi i zatrzymał go przed wiecznym miastem, choć dwóch tylko miał senatorów za sobą. Rzym ocalał — i ocalił świat; Papież Leon Wielki zbawił Europę.

Cofnął się w trwodze Attyla, a kto się dotknął samego Rzymu, ten ginął. Do „piątego kamienia” postąpił Hannibal u bram wiecznego miasta i runął; Alaryk, który pierwszy po ośmiuset latach od Galów, wdarł się na forum romanum: zmarł, ledwo miasto opuścił. Nikt bezkarnie nie triumfował nad Rzymem...

Goniąc swą myśl, uderzył kardynał Murri palcem po stole.

Nadeszły „dni próby”.

Rzym jest centrem świata, alfą i omegą. Rzym istnieje dla świata, ale gdyby nie było Rzymu, nie byłoby potrzeby świata. Ludzkość została stworzoną na to, aby była zbawioną, a zbawia ją przez chrzest i ostatnie pomazanie Rzym, Kościół, Matka nasza.

Marmurowy blat zadzwierczał pod palcami kardynała.

Jest to mistycyzm katolicyzmu, cyfra zamknięta sama w sobie. Gdy Grzegorz Wielki w sporze z patriarchą Konstantynopola nazwał się „servus servorum Dei”, sługą sług Bożych, wyraził on w tej wieści, iż się na pozór zdawało, określił

on służbę katolicyzmu w stosunku do świata, a zarazem stał się pierwszym z biskupów świata i jego panem duchowym. Boć i Bóg nic innego nie czyni, tylko pragnie ludziom służyć zbawieniem. Na to ich stworzył...

W uszy kardynała Murri cisnął się głos kaznodziei, ojca Deodata...

Tupnął nogą i rzekł prawie półgłosem sam do siebie:

Jak Alaryk zginiecie dotknąwszy się Rzymu...

— — — — —
W piękne rano nad Albańskim Jeziorem, nad jego głębią błękitną, siedziała samotnie Korecka.

Wokoło góry się pięły we mgłach.

Nad wodą i przez modre powietrze latały jaskółki.

Miały one lecieć tam na północ, do ziemi chmur, deszczu i śniegu.

Tam one miały ojczyznę swobodną.

Bo swobodnemi są gzymsy poddaszne chałup i dworów, swobodnemi są zabudowania kościelne, swobodną jest przestrzeń.

I wszędy były wolne i swobodne. Równie nad chłodnemi polami północy, jak nad morzem ogromnem, jak w ciepłej Afryce.

Korecka gonila je wzrokiem.

Poleca tam, do Polski, i ulepią gniazda.

Powiążą się w pary i spłodzą młode, wychowają je i wykarmią.

A jedynem, co je nauczą, będzie swoboda,

W pierwszym ćwierknięciu brzmi ono ptaka i ostatniem.

Nauczą je: świat jest wasz i niema granic.

Dokąd złońce pada ciepłe — latajcie, strzegąc się tylko sokołów wędrownych, jak wy szybkich.

Zresztą nie grozi wam nic — jesteście swobodne...

Oto będzie pacierz dzieci waszych, jaskółki...

Swoboda i lot...

Nieskończona przestrzeń, horyzont i zenit...

Ponad głową Koreckiej krążyły jaskółki to zniżając się to wznosząc.

Jej oczy jasne gonily za niemi, ściagały je w przestworze...

Bo ona nie mogła polecieć tak nigdzie, ani żadnym dzieciom narodu swego myśli jaskółczych powiedzieć...

Martwe, cicho leżało u jej stóp jezioro Albańskie.

— — — — —
W ciemnej suterenie, w jednym z domów przy ulicy Ripetta, stary, ubogi stolarz i malarz pokojowy, Piotr Szafranski, siedział samotnie naprzeciw wizerunku Chrystusa, dużego popiersia na płótnie namalowanego, i patrzył weń.

Chrystus miał szatę różową i płaszcz niebieski; włosy miał przedzielone na środku głowy, łagodnie spływające, nad głową aureolę. Rękę prawą z pod płaszcza dobywał i na serce czerwone, na środku piersi namalowane czerwono, z płomykiem wystrzelającym, wskazywał. Oczy miał szafirowe, zmęczone i przyknięte.

Stary Szafrąński patrzył w obraz, siedząc na-
przeciw.

Mógł mieć lat koło siedmdziesięciu, siwy był
i twarz miał pomarszczoną i bruzdami zoraną. Ko-
szulę mu wiązał pod szyją czarny krawat z długie-
mi końcami, brudny i poplamiony, na sobie miał
tabaczkowy, welwetowy, robotniczy, wytarty i po-
darty kubrak i takie same wystrzępione spodnie.
Buty ogromne, za duże, rozchodzone, poskręcały
się do środka i powyłamywały w dziwny sposób.

Wąsy miał nastroszone, gęste, szpakowate, ta-
kież faworyty do ucha; zresztą się golił. Szczeci-
niaste twarde włosy kości twarzowe i brodę po-
krywały.

Mały, krótki, gruby, do krzaka był podobny,
a z pod krzaczastych brwi żywe, wąskie, niebie-
skie oczy patrzyły.

W mieszkaniu była szafka, tapczan, stół, oprócz
tego, na którym Szafrąński siedział, dwa stołki
i cebrzyk; pościel w rogu tapczana zwinięta, parę
talerzy, szklanka, wszystkie sprzęty na stole. Dwa
stare heble, piła do rznięcia, młotek i dłuto leżały
na kupie w rogu, zmieszane z pendzlami i dzban-
kami od farb.

Na jednym ze stołków stał garneczek z odro-
biną mleka koziego.

Siedział stary Szafrąński już długą chwile
i w obraz Chrystusa się wpatrywał.

— No i co? — rzekł po chwili. — No i co? Có-
żes dokonał? He?

Głód, bieda, nędza, co?

Ucisk, uciężenie, krzywda...

Niewola, niedola, przemoc...

Zdeptanie praw...

Dzikie bestje, tygrysy, lamparty, zbiki w bara-
niej skórze, wilki, osły z wilczemi zębami...

Osły z wilczemi zębami...

He, co?

No i cóż?

Jakem Szafrąński.

Daleko zaszedł świat — co?

Posunął się naprzód...

Ou! Posunął!

Parole d'honneur!

Tylko tyle miało być?

Przyszliśmy, obiecaliśmy, Bóg wie cośmy zapo-
wiadali... Hohoho! Czegośmy to nie chcieli?

Tylko nie ze wszystkim się udało.

Że stary Szafrąński nie ma co jeść, nie ma w czym
chodzić, nie ma za co cygaretki kupić, mieszka jak
szczur, żyje jak pies — to nic... To to nic. Ale
świat, he co?...

Idealista, panie dobrodzieju...

Tam, w niebie? E, to nie dla nas — ce n'est pas
pour un esprit fort...

Tu, tu, na ziemi, łzy, nieszczęście, krew!

No i co?

Tu tak, a tam ma być inaczej? Nagroda, co?

Nie warto się było fatygować!...

Szafrąński machnął ręką.

Wtem zapukał ktoś lekko do drzwi.

— Entrez, entrez! — ozwał się nie odwracając głowy. — Któż tam?

— Signor Petro — rzekła żona odźwiernego — signor Petro, jakaś dama, powozem...

— Dama? Powozem? — zapytał nie odwracając głowy Szafrąński.

— Tak, tak, ślicznie ubrana, principessa.

— Czego chce? Pokoje malować?

— Nie wiem, kazała się do pana prowadzić.

— Entrez — rzekł z niedbałą niecierpliwością Szafrąński.

Weszła Korecka.

— Tu? — zapytała.

— Tu — objaśniała z uszanowaniem odźwiernia.

— Czy to pan? — spytała grzecznie Korecka.

— Kto? — zapytał w uprzedniej pozycji, siedząc naprzeciw wizerunku Chrystusa, Szafrąński.

— Piotr Szafrąński — tu?

— Do usług.

Szafrąński obrócił się na fotelu, ujrawszy zaś Korecką, podniósł się nieco i zapytał:

— Czem mogę służyć?

Korecka zmieszana się trochę.

— Ojciec Hilary Bredkowski, jezuita, mówił mi — zaczęła.

— Al proszę — niech pani siada. Z kim mam honor? — przerwał Szafrąński, podsuwając Koreckiej krzesło.

— Dziękuję — rzekła Korecka siadając na chwiejącym się krześle.

— Tylko proszę uważać, bo chrome. Pani może odejść — zwrócił się Szafrąński zpańska do odźwiernej, która ciekawie stała w uchylonych drzwiach.

— Z kimże tedy mam honor?

— Jestem księżna Korecka — rzekła Korecka po polsku, dotąd bowiem mówili po włosku.

Szafrąński uklonił się niezgrabnie bez żadnej unizoności i rzekł z zupełną swobodą:

— A! Bardzo mi przyjemnie. Rodaczka. Cóż zatem, panie dobrodzieju, sprowadza księżną panią do mnie? Książ Bredkowski? Któżto zacz? Nie znam.

— Przyjaciel pana, choć nieznamy — rzekła Korecka strapiiona nieco pewnym siebie tonem tego mizeraka, do którego ją książ Bredkowski, opiekun biednych polskich, posłał.

— Aha —

— Panie Szafrąński — zaczęła — ja przyjechałam... pora obiadowa — — może —

— O, łaskawa księżno — odpowiedział Szafrąński ze złośliwością — jest kapka u mnie koziego mleka na stole, kaseczek sera toże...

Korecka miała się ochotę roześmiać, a czuła, że jej łzy napływają do oczu. Nagle przyszło jej coś szczęśliwego do głowy — wstała z kulawego krzesła, postąpiła ku ścianie, na której wisiał obraz Chrystusa i, kładąc na stole dwa banknoty stułirowe, rzekła szybko:

— O tym obrazie mówił mi ksiądz Bredkowski, chcę go kupić.

Szafrąński popatrzał na pieniądze, potem na Korecką, potem na wizerunek, a potem rzekł prosto dusznie:

— A! pani dobrodziejko, z kimże jabym rozmawiał?

Korecką ścisnęły łyzy w gardle. Przystąpiła ku Szafrąnskiemu, wyciągnęła ku niemu rękę i odezwała się tak prosto, jak on powiedział:

— Chcę panu pomóc.

Lecz Szafrąński rękę Koreckiej nie ścisnął, lecz wyprostował swoją małość, spojrział hardo, uklonił się przesadnie i rzekł:

— Mersi, psiacimać.

— Jakto?

— Mersi.

Na mgnienie oka ogarnął Korecką gniew, lecz uśmiechnęła się, cofnęła rękę i rzekła:

— Panie Szafrąnski, chcę odnowić u siebie meble i tapety. —

— Jestem malarz pokojowy, nie tapicer — prze-rwał Szafrąński.

— Nic nie szkodzi, są i takie roboty. Proszę pana dziś do mnie, koło czwartej. Oto adres.

Położyła bilet na stole.

— Puszcza mnie? — spytał Szafrąński, spoglądając po welwetach.

— Puszcza. Zresztą tu jest zadatek.

I posunęła ku Szafrąnskiemu leżące dwieście

lirów. Lecz ten je odsunął, mówiąc impertynencko i arogancko:

— Jakże to? Czy bieda, czy portret, czy robota? A jeżeli robota, to muszę wprzód obejrzeć, bo nie wiem, czy się podejmę?

— Więc proszę przyjść o czwartej — powiedziała Korecka i wyszła.

— No, no, któż to był? Principessa! Co za konie! Co za powóz! Mitry! — paplała odźwierna, która natychmiast wpadła.

— Kto był, to był — odpowiedział Szafrąński. — Komorne płacę i funda. Balja gotowa? Pranie! Żebym chciał, tobym panią kupił, corpo di Bacco! Ale jestem honorowy człowiek i obywatel! Na wieczór kozłę i asti spumante, corpo di Bacco! Capretto, corpo di Bacco!

I obróciwszy się do wizerunku Chrystusa, rzekł po polsku:

— Udało nam się, he, co? Aleśmy się trzymali i popisali, co? Tak stary Szafrąński umie! Księżnie i milionerce zaimponować! To nie celnik, czy tam jaki faryzeusz! He?!
— — — — —

Po wyjściu Koreckiej, Szafrąński siedział długą chwilę w zdumieniu. Przyszła do niego dama, przyniosła mu pieniądze — jak na niego duże pieniądze. Ni stąd, ni zowąd... Nagle... Jak w bajce.

W czarną noc jego biedy padł zupełnie złoty od blasku, słoneczny promień...

I mnóstwo surdutów, butów, koszul, salcesonów,

bochenków chleba, butelek piwa, a nawet słodka we wspomnieniu warszawska kiełbasa krakowska, poczęły tańcować w głowie Szafrąńskiego.

Siedział długo, długo myślał, wreszcie rzekł głośno sam do siebie:

— Jucha baba! Sodoma, Gomora, gdybym nie był wrogiem arystokracji...

* * *

Naprzeciw siebie w pałacu kardynalskim siedzieli kardynał Murri i Łanowski. Kardynał zaprosił go do siebie i Łanowski przyjął zaproszenie.

Ogromny, szerokobarki uksiążęcony w kościele chłop włoski, patrzył płomiennymi, czarnymi źrenicami w zimne, bladoniebieskie źrenice Łanowskiego, do którego wysmukłych ramion ładnie przylegał dobrze skrojony tużurek. Łanowski był młody, nie miał lat trzydziestu, przystojny, o typie dystyngowanego szlachcica polskiego i wyrazie twarzy zacietym i porywczym.

— Zatem?—prowadził rzecz kardynał.

— Zatem będę tu robił wszystko, co będę mógł, aby wam szkodzić — odpowiedział Łanowski. — Po to tu przyjechałem, aby was dusić w gnieździe.

— Nienawidzisz nas? — zapytał kardynał Murri.

— Uważam za zło świata.

Kardynał uśmiechnął się.

— Na otwartość otwartość—rzekł.— Jesteś pan szaleńcem,

— Lecz boisz się mnie pan, kardynale—odparł Łanowski.

— Żałuję.

— Zgnietliście ducha ludzkiego!

— Nie; rozwinęliśmy.

— Aby zwinąć w kłęb!

— Porywczosć pana zgubi.

— Uważacie się za niezwycięzonych. Mocni jesteście, bodaj najmocniejsi na świecie — — zobaczmy.

Kardynał podał Łanowskiemu cygaro.

— Zobaczmy — rzekł.

— Łudzicie się—rzekł Łanowski.

— Uczą nas dwa tysiące lat.

— A jednak—pomnij pan. — —

Kardynał Murri zachmurzył się nieco mimowoli.

— Panie Łanowski—rzekł—śmierć kilkuset milionów ludzi jest w naszym ręku.

— Tak, to prawda. A zatem trzeba, ażeby was nie było.

Kardynał popatrzał w oczy Łanowskiemu powoli i odpowiedział:

— Jesteś pan zuchwałym człowiekiem, jakiego nie widziałem jeszcze. Fanatyzm pański jest szaleństwem poprostu. Gdybym był bardzo młody, niezawodnie imponowałbyś mi pan. Do widzenia. Zobaczmy.

— Zobaczmy! — odpowiedział Łanowski, powstając do pożegnania.

Kardynał powstał również grzecznie i rzekł w światowy sposób:

— Gdy zmęczony własną porywcznością zechcesz pan spocząć: mój fotel i moje cygara zawsze są na pańskie usługi.

Łanowski sponsował. Wahał się widocznie chwilę, co ma odpowiedzieć, namyślał się gwałtowną myślą. Kardynał drwił; drwił spokojnie, z wyższością i uprzejmą wytwornością. Łanowski wybuchnął:

— Pan wiesz, że —

— Za pozwoleniem — przerwał mu kardynał — skoro wiem, to nie potrzeba mi mówić.

Łanowski zmieszał się, kardynał zaś kiwnął mu głową i wyszedł do drugiego pokoju, gdzie wszczerpił palce w stół i mruknął:

— Bestja! Nie mogą go powiesić, bo już nie mogę...

* * *

Droga księżno Doroto — pisał Toszczyński — chmurno tu, deszcz pada, pustka zupełna. Jezioro utonęło we mgłach, zapadło w nie tak, że niewiadomo czy jest? Czasem zaczynam przypuszczać, że go niema, że go może nigdy nie było.

Ale kamień rzucony wydaje plusk — więc jest.

Tak samo czasem wydaje się, że życia niema — ale kamień rzucony wydaje plusk — więc jest.

Tam, na świecie, życie pełnem życiem. Wszystko zmieszane. Handlarze starych spodni i instynkta, pijane nędzarki, gubiące ostatni grosz w ulicy i wyjące z rozpacz—i powieści anatola France'a, ślepe kieszki i uroczyście mowy, kokieterja, ciała uczone

i pasty do butów, pogotowia ratunkowe i grv dyplomatyczne, pojedynki i sklepy galanteryjne, odkrycia chemiczne i astronomja i woda gorzka, tyfus i zastępstwa nasion buraczanych, wielcy książęta i maszyny do szycia, walka o byt i obcasy gumowe, pożądania piciowe i fortepian, tęsknoty i zupa à la Juliënne, marki pocztowe i śmierć i wszystko, wszystko splata się i łączy z sobą i niepodobna jest uwierzyć, aby tak bezdennie nędzny twór, jak człowiek, mógł istnieć na tak strasznym świecie, jak nasz.

Jednej jesieni siedziałem gdzieś znacznie niżej, niż dzisiaj siedzę, pośród tu i ówdzie rozrzuconych gajów olszynowych, w olbrzymim parku. Nagle z nad głowy mojej, z nad dachu, od strony północy, wyleciało, jeden za drugim, sześć sokołów wędrownych, tych niedużych, a niesłychanie lotnych. Po-częły krążyć nad gajami, szerzej, wyżej, aż jedne zostały tuż nisko, inne wzniosły się literalnie pod chmury, jedne zataczały koła wąskie, drugie zataczały olbrzymie koła, te wysoko, i wreszcie poleciały dalej, ku południu. Nagle w jakie dwie, trzy minuty potem, niedostrzeżone dotąd przeze mnie, wyleciały z gąszczów olszynowych małe ptaki, stadko z pięćdziesiąt sztuk, w największym popłochu i po-śpiechu, przefrunęły z jednej kępy drzew w drugą, znów dalej, pędzone strachem i siłą jakąś, kryły się, a leciały, to tu, to tam. Nalot sokołów stał mi się jasny. Gnały one za ptaszkami z północy, czy z zachodu na południe. Teraz proszę sobie wyobra-

żyć dołą tych ptaszków: nadchodzi zima i one do Afryki z Europy lecieć muszą, raz, że inaczej zginą z głodu i zimna, powtóre, że im tak instynkt każe. Za nimi zaś gna te sześć sokołów i porywa jednego po drugim. Ptaki kryją się, błędzą, i w popłochu i umyślnie; powinny lecieć na południe, a lecą od gaju do gaju, wtył, w bok, a jednak na południe, bo tak muszą. Wiedzą one, że przyjdzie taki dzień, kiedy nie będzie olszyn po drodze — morze, gdzie nad nimi będą sokoły, pod nimi głębia wodna. W śmiertelnym strachu, nieszczęśliwe, nieprzytomne z trwogi lecą na południe. Tak lecimy i my..."

Radca miejski rzymski, deputowany do parlamentu, konserwatysta, bogaty właściciel wielkiego handlu szczotek, a adwokat z zawodu, doktor praw Giuseppe Bocconi pędził na swym automobilu, sam go prowadząc, przez Corso Umberto w Rzymie, a pędził tak szybko, jak tylko sobie konserwatywny radca miejski, stronnik królewski i uprzejmy znajomy papieża pozwolić na to może.

Z ulicy zaś zwanej Via delle Vite szedł podśpiewując z czerwonym kwiatkiem w butonierce Giovanni Nuovo, z muszką na brodzie i podkreconemi wąsikami, socjalista, anarchista, dynamitard, komunista i krawiec męski, osobistość popularna pośród rzymskiego proletariatu dla czerwonego kwiatka w butonierce, piskliwego organu mowy, aksamitnej kurtki, spodni w białe i oliwkowe kraty i satanistycznych przekonań. Po za tem także dlatego, że tak.

Wtem na rogu ulic delle Vite i Corso Umberto, gdy Giovanni Nuovo chciał przejść na drugą stronę ku Via dell Orso, pędzący z zakazaną chyżością automobil radcy doktora Bocconiego, nie zdążywszy nawet dać sygnału, wpadł nań i zabił go na miejscu.

Doktor Bocconi zatrzymał maszynę, zaś Gio-

vanni Nuovo w aksamitnej kurtce i spodniach w białe i oliwkowe kraty leżał w kałuży krwi, ze zmiażdżoną twarzą, złamaną prawą ręką i zgruchotaną klatką piersiową.

Zebrał się tłum, a nawet przybrał wobec samochodu doktora Bocconiego wrogą postawę, tem więcej, że zarówno i policjant, pełniący służbę i przechodzący tamtędy karabinier zajęli z konieczności czy nie z konieczności wobec sprawcy katastrofy stanowisko ochronno napastliwe. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności pojawił się nagle pędzący gdzieś tabor straży ogniowej; tłum się rozstać musiał, a policjant z karabinierem, mimo protestów doktora Bocconiego, wsiadłszy na automobil, tą samą ulicą delle Vite, którą losy poprowadziły krawca męskiego, anarchistę Nuovo, pojechali z doktorem do prefektury policji.

Tłum zgromadził się koło zabitego powtórnie, wezwano pogotowie ratunkowe, które skonstatowało śmierć i zabrało zwłoki, wybito wieczorem szybę w wystawie magazynu szczotek doktora Bocconiego, gazety demokratyczne napadły go w wieczornych jeszcze wydaniach, w których konserwatywne już napisały, że krawiec Nuovo był pijany i nie zważał na ostrzegawcze sygnały, doktor Bocconi nazajutrz rano ogłosił w dziennikach, że dla wdowy ofiarowuje dziesięć tysięcy lirów i odbyło przesłuchanie w policji, gdzie policjant i karabinier zeznali przeciw doktorowi Bocconi, ale później w śledztwie sądowym policjant i karabinier, oraz pewien kelner z pobliskiej kawiarni i pe-

wien fryzjer wraz z pomocnikami oświadczyli pod przysięgą świadków, iż doktor Bocconi jechał tem-
pem przepisaniem, a jakkolwiek sygnału ostrzegawczego nie dał, to jednak krawiec Nuovo pro-
stu dobrowolnie, jakby śmierci szukając, rzucił się pod automobil, wskutek którego to oświadczenia prokuratorja śledztwo wstrzymała i od dochodzenia odstąpiła, tem więcej, że pewna właścicielka pralni już dawno na krawca Nuovo miała podejrzenie, iż nie jest on obcy myśli o samobójstwie.

Ale nie spał Szafrąński.

— A panie bdiu! A psiakrew! A cholera! A Madonna putta! A manza meledetta! A to łajdak! A to drab! A il brigante! A ficca romana! — wykrzykiwał on w kawiarence na Piazza de Popolo z „Tribuną“ w ręku. — A to psy! A to łotrstwo! A to!... A to!... Panie bdiu! i t. d.

Skupiła się naokoło publiczność, trzech mularzy, kapral od piechoty, profesor gimnazjalny, dwaj malarze, jeden Szwed, drugi Korsykanin, kapitan od artylerji walowej, syn szewca, w cywilnem ubraniu, i sześciu robotników kamieniarskich. Szafrąński odczytał im orzeczenie w sprawie zabójstwa krawca Giovanniego Nuovo.

Wzrósł był już Giovanni Nuovo w swojej dzielnicy do postaci ofiary, ale gdy Szafrąński począł wrzeszczeć, Nuovo stał się w kawiarni ludowej przy Piazza del Popolo symbolem idei. Zrobił się rozruch, rozgwar, zaczęto kląć, pomstować i odgrażać się. Hubka się zatliła.

Gdy więc na ulicę wypadł z „Tribuna” w rękę wrzeszcząc i klnąc stary Szafranski, a za nim publika z kawiarni ludowej na Piazza del Popolo, kilkanaście osób wkrótce wzrosło do kilkudziesięciu. Przed parlament! Przed parlament! ryczał Szafranski i inni ryknęli za nim.

Nim przybyli na Piazza Colonna, szło już kilkaset osób, a naprzeciw gnało już kilkunastu policjantów i pieszych i konnych karabinierów. Prawie, że nie czekano ani na wezwanie do rozejścia się, ani na odzew tłumu, prawie że odrazu sypnęły się kamienie i cegły z jednej strony, a odpowiedziano kulami z drugiej. Tłum nie pierzchnął, albowiem i z pośród niego trzasły tu i ówdzie browningi i rewolwery. Rozpoczęła się walka. Błysnęły noże długie, lekko skrzywione i sztylety. Podniosły się kije. Tłum runął na policję. Poczęto się zmagać. Wycie, wrzaski, złorzeczenia napełniły powietrze. Tłum rósł. Pędzili robotnicy z bliskich warsztatów i budowli.

Z krwią ciekącą z rąbniętego czoła, w poszarpanem ubraniu, z pałą jakąś, którą gdzieś komuś z ręki wydarł, w dłoni, walczył, rzucał się, zapieniony, wściekły, w furji piekielnej, wrzeszcząc; śmierć! śmierć! po polsku, po włosku i innemi językami Szafranski. Z okna zaś hotelu garni przy placu Colonna patrzył z rozgorączkowaną twarzą Łanowski, z rewolwerem w ręku, z którego nie strzelał, powtarzając dygocącemi wargami: tu się zaczęło, w Watykanie się skończył...

— — — — —

— Ha co? Psia ci mać! Co? Popisał się Szafranski? He? — mówił, a raczej krzyczał Szafranski do wizerunku na ścianie, jak bomba wpadłszy do sutereny, pełen krwi, kurzu, guzów i strzępówz ubrania.—Ha co? Sześćdziesiąt ośm lat Twój Szafranski czekał na to święto! Znam spisy, znam pałasze, znam kolby i bagnety, ale policjanta w mordę, żandarma w mordę! II guardia municipale! II carabinieri!

Hahaha!

He cóż pagóreczek, skąd się obejmowało światczek? Hihih! Móweczka na górce? Była swadka, była! Wymóweczka! Proszę siadać! No, a teraz herbatki, co?

Nalał spirytusu do maszynki i począł wodę gotować.

— Hehehe! Łatwiej gadać, trudno zrobić. Bestyjki się w aniołka nie przedzierzgnęło, choć się z tego powodu umarło. Bestyjka bestyjką została. Trochę się naiwnie na świat patrzyło. A przedewszystkiem z żydowska, hihih! To jest jakiś taki idealizm, który się nam Aryjczykom w głowie nie mieści.

Jak ja w pysk dostanę, to mam z drugiej strony papę nadstawić? Bo to niby do tego ma prowadzić, że jak wszyscy tak będą robili, to się wszyscy nawzajem przestaną po mordach tłuc? E nie, panie dobrodzieju! Nim ja dostanę, to wolę najdroższego bliźniego trzasnąć!

Hihih!

No, kipi wodeczka. Zasypiemy herbatki, czaju. Uff! Pracowało się! Malowałem, moci dziu, huby,

że ani u księżny Koreckiej po marsali tak mi nie szło.

Czaj!

Hyhyhy! Osły z wilczemi zębami!

Cukierku, jeśli łaska... Jest tam jaki sucharek? Salami z osiołka?...

Obmył się z krwi, począł jeść, pić i na krzesle zasnął. I poczęło mu się śnić. W małym ogródku w białej sukni siedzi na drewnianym stołku chłopiec kilkunastoletni, Chrystus, a naprzeciwko Niego siedzi na trawie on, Szafranski, pośród mnóstwa róż, które się w tym małym ogródku w nieskończoność ciągną.

Chrystus ma palmę zieloną w ręku, jak Go malują.

A Szafranski trzyma w ręce cybuch od fajki, ale bez fajki.

Chrystus się schyla i róże z trawy podejmuje i na Szafranskiego rzuca.

A Szafranski się cieszy.

Hehehe!

Chrystus się uśmiecha.

I Szafranski także.

Chrystus pochyla palmę ku czołu Szafranskiego i powiada:

Szafranski, wstań!

A Szafranski na to:

Kiedy mi się nie chce, bo mi tu dobrze.

Święty chłopiec się śmieje, a w tej chwili około Niego pojawiają się aniołowie biali i złoci.

Chrystus pokazuje im Szafranskiego palmą i powiada:

Nie chce wstać!

A aniołowie zbliżają się doń i śpiewają:

Szafranski, powstań z róż!

Dosyć siedziałeś już!

E, z tego nic! — mówi Szafranski.

Następnie naokoło niego ukazują się mnóstwo, mnóstwo ubogich kalek, chorych, nędzarzy, nieszczęśliwych.

Szafranski bierze róże wokół siebie i poczyną rzucać ku nim, rzucać, rzucać, rzucać. Gdzie padnie róża, goi rany, karmi, pociesza, uzdrawia, krzepi. Szafranski rzuca, rzuca, rzuca.

Było ich tysiące, miliony, miljardy — rozrzucił wszystkie.

Została twarda, skalista ziemia, krzemienie.

Rozwiął się we mgłę Chrystus, aniołowie, ogródek, trawa zielona.

Szafranski siedzi na litej skale pośród przepaści.

A w przestrzeni, we mgłach, kołysze się purpurowy, olbrzymi Lucyfer na skrzydłach, duch nad przepaściami.

Milczenie zalega świat, tylko mgły płyną kłęb za kłębem, to słońcąc, to odsłaniając purpurowego Szatana nad głębią i otchłanią.

I słyhać jego głos:

Szafranski wstań!

Wówczas on, Piotr Szafranski, wstał.

Pójdź! — woła Szatan.

Wówczas Szafrąński uczynił krok po bitej skale. I ujrzał się z nożem, którym krajał salami, na przeciw swego Chrystusa, wzniesionym do ciosu, prosto w serce.

Wzdrygnął się.

— Psia ci mać! — pomyślał. — Co za sen?!

A już świtało.

Szafrąński odrzucił nóż na stół, splunął i przeciągnął się.

Musiałem zasnąć zrazu twardo, a potem mi się śniło — myślał.

Kości go bolały i po spędzonej na stołku nocy i po walce. Cud, że go nie zarabali, nie przebili, nie zatłukli, nie zgnetli...

Złowroga cisza zaległa miasto.

Wtem rozległ się strzał rewolwerowy, raz, dwa, i ludzki przerażający jęk.

Szafrąński nie zawahał się. Chwycił swój triumfalny wczorajszy kij i wyszedł z domu.

O kilkanaście kroków na ulicy leżał policjant. Z przechodni nie było nikogo, tylko się tu i ówdzie okno otwarło i głowa ludzka wyjrzała.

Zaczyna się na dobre — pomyślał Szafrąński i zastanowił się, gdy zbliżył się do niego Włoch w robotniczej bluzie.

— Towarzyszu! — ozwał się.

Szafrąński zadarł łeb.

— Towarzyszu, widziałem was wczoraj, to wyście z kawiarni powiedli ludzi mścić wyrok na Bocconiego za towarzysza Nuovo — mówił Włoch.

— Ja!

— Evviva! I walczyliście, jak stary lew!

W Szafrąńskim obudziła się duma narodowa, a zarazem skryte przekonanie, że jednak pochodzi z rycerzy, jakichś Korabiów Szafrąńskich, o których gdzieś kiedyś słyszał, czy czytał.

— Jestem Polak — rzekł z emfazą.

— Evviva! Wojsko pociągami nadjechało z okolicy, z Neapolu, z Livorno, z Florencji.

— A my?

— Będziemy stawiać barykady. Albo, albo.

— Co się działo przez noc?

— Komitety rewolucyjne radziły. Stało się. Godzina wybiła.

Szafrąński spojrział na Włocha.

— Mówią o was — rzekł Włoch i pożegnał się.

Szafrąński zadarł nos i powrócił do sutereny.

W bramie spotkał odźwierną, która od czasu odwiedzin Koreckiej i wzrosłego odtąd dobrobytu u Szafrąńskiego, poczęła go, oprócz dawniejszej sympatji, szanować i poważać. Spojrzała nań przeżonemni oczyma i szepnęła:

— Boże miłosierny, Święty Franciszku z Assyżu i Janie z Lateranu! Co się stało wczoraj na Piazza Colonna?! Bitwa! Chrystusie Nazareński z Apostołami! Bitwa zupełna!

— Będzie i wojna! — rzekł głośno Szafrąński z wyniosłością i potęgą.

— Pssst! — zawołała wystraszona odźwierna. —

Czy signor nie wie, że tu na dole, na prawo, pod trzecim, mieszka sam pan koncepista?!

— Dawaj go! — odpowiedział Szafranski i wszedł do swojej mansardy przygotować ryszstunek: kij i nóż od salami.

* * *

Z nożem w rękawie lewicy i kijem w prawicy zabierał się do wyjścia. A nim wyszedł, stanął przed wizerunkiem na ścianie i ozwał się doń z ukłonem:

— Padam do nóg!

He co?

Do widzenia!

Powtórnie się uklonił.

— Świątek w łeb bierze, co? Klerykalizmek, feudalizmek, kapitalizmek! Co? Powiedzeńka się rozsypują. Większa jest bieda ludzka, niż nauczka. Padam do nóg!

Uklonił się.

— Z jednej strony w gębę, z drugiej strony w gębę, co?

Hehehe!

Byliśmy dobrzy na średnie wieczki... Padam do nóg!

Wyszedł.

Świt był i w ulicach snuli się tylko robotnicy i robotnice. Policja i karabinierzy, we wzmocnionych posterunkach, nie zatrzymywali nikogo.

— Łagodne środki? — mrucał do siebie Szafranski. — Hihih! Ustępstewka z musu.

Doszedł do Monte Pincio, gdzie zastał już tłum ludu i gdzie widocznie ktoś skończył mówić mowę podzeglającą. Na jego widok tu i ówdzie podniosły się okrzyki. Niektórzy go znali, wielu widziało jak walczył zacięcie i w pierwszym szeregu, starzec zupełnie.

— Evviva! Evviva!

Szafranski uklonił się kapeluszem.

— He, psiakrew! — pomyślał. — Szafranski, co? Primus inter pares!

Z fantazją wszedł między ludzi.

Tłum był liczny i widocznie gotowy do czynów, wszyscy byli uzbrojeni w kije, noże, rewolwery, kilofy, siekiery, młoty, w co kto mógł. A przybywało ludzi coraz więcej i więcej, mężczyźni, kobiety, dzieci, starzy i młodzi.

Nagle Szafranski poczuł w sobie natchnienie.

Wyskoczył na ławkę ogrodową i wrzasnął, powiewając kapeluszem:

— Mości panowie! Obywatele! Obywatelki!

Tłum z ciekawością ku niemu spojrział.

— Mości panowie! Obywatele! Obywatelki! — począł się drzeć Szafranski. — Nadeszła chwila odwetu! Średnie wieki minęły! Rząd, psia ci panie mać, boi się nas! Udaje, że chce przejść nad wczorajszą klęską policji do porządku dziennego, bo, panie bdiu, nie może inaczej! Żołnierze, panie bdiu, nie chcą strzelać! Średnie wieki, epoka feudalizmu, panie święty, klerykalizmu, burżujstwa, kapitalizmu, panie bdiu, minęła! Łzy ludu, ludu pot, ludu krew

przestaną płynąć do koryta, że się tak delikatnie wyrażę! Łzy, panie, ludu, ludu, panie, pot i krew!

Rozrzewnił się.

— On tam z przestrzeni patrzy na nas, on, który nie chciał po śmierci iść do feudalno-klerykalnego nieba, którego niema zresztą wcale, on i tam, na tamtym świecie, wierny republikanin, nasz święty, męczennik i bohater, Giovanni Nuovo! On woła: w imię moje walczcie! Krew moja męczeńska odkupi was! Idea miessjanistyczna, mości panowie, obywatele i obywatelki, jest największą, nieśmiertelną ideą! Chrystus. —

Urwał.

Chrystus wisiał w jego mansardzie na ścianie bolesny, cichy, bezgranicznie smutny.

— Chrystus, mości panowie — wrzasnął, mocując się wewnętrznie z sobą Szafrąński — Chrystus, mości panowie, chciał zbawić świat. —

Urwał.

— Chrystus — wrzasnął, podnosząc głos — dał wzór poświęcenia się, choć z nauką Jego, ja, Szafrąński, walczę!!

Obywatele! Obywatelki! Wiecie, gdzie macie iść we dwie strony! Aux armes citoyens! Le jour de gloire est arrivé!!!

„Panie bdiu”, „psia ci mać” i wszystko, co wtrącał po polsku, nie przeszkadzało jego wymowie, ani wrażeń, które nią sprawiał. Ryknęto: naprzód! — i ruszono na dół, na Piazza del Popolo.

Tu tłum rozdzielił się: jedni ruszyli na most nad

Tybrem, Ponte Margherita, drudzy przez Corso Umberto, w dwie strony, na które się porwano.

Szafrąński, mimowoli uniesiony falą, znalazł się na moście.

Wtłoczono się w Via Cola di Rienzo.

Z rozmachem ogromnym, z pałą w ręku, mały, gruby, siwy i nastroszony, skrzył Szafrąński z tłumem za szynami tramwajowymi z Via Cola di Rienzo na Plac Świętego Piotra i ujrzał się naprzeciw obelisku, wodotrysków, olbrzymiej, spokojnej kolumnady i olbrzymiego imponującego frontu kościoła.

Na ten widok przystanął, stuknął kijem w kamień brukowy i wyrzekł półgłosem:

Szafrąński tu!

I czuł potęgę życia. Wczoraj walczył z karabinierami królewskimi, dziś z kijem w ręku na czele tłumów stoi naprzeciw papieża.

Szafrąński stanął, albowiem mógł stanąć, w tej chwili bowiem przystanąli i wszyscy ci, którzy szli na przodzie.

Zatrzymał ich majestat kolumn i kościoła.

Każdy z tych ludzi przychodził tu z różną myślą w głowie, ale każdy wiedział i pamiętał, że ile razy przyszedł, na schodach Berniniego odkrywał głowę i gdyby jej nie był odkrył, odkryłoby mu ją gwałtem. To była stolica. Dziś stała ona naprzeciw, potężna, wzniosła, kolosalna i nieobronna.

Trwoga zabobonu zatrzymała idących. Stanęli ci, co szli pierwsi i wstrzymali tłum, a ci, co szli

dalej, jakby odczuwając instynktownie przyczynę wstrzymania się pochodu, przestali przeć.

Ogromny majestatyczny kościół zagradzał drogę.

On, który potęgował doktorów Bocconich...

Las kolumn otaczał przed nim plac, na prawo i na lewo, kolumn potężnych, kolosalnych, na których sklepieniu mogło, zda się, pasmo gór spocząć.

Tłum stał. Stały tysiące, gromada złowroga, rozjadła, straszna — wtem z kopuły Świętego Piotra poczęły dzwony bić.

Uderzyły nie jak na trwożę, ale spokojnie, poważnie, dumnie i po królewsku.

Dźwięczący grzmot za grzmotem były dzwony równo, podniebnie.

Siłą żywiołu przed się pchnięty, wyleciał Szafrąński na plac, między kamienne słupy koło obelisku Kaliguli, dalej, parto go, wleciał przed schody i wjechał po schodach do góry.

Spojrzał — ludzie poczęli odkrywać głowy.

Nieśmiało, jakby wstydliwie, ten i ów uchylał kapelusza, czy czapki. Zakłopotanie wymalowało się na twarzach.

Wtem powoli przed zbuntowanym tłumem otworzyły się drzwi środkowe gmachu. Z wnętrza, kędy był mrok i żarzyły się woddali świece, wystąpił w purpurze kardynał Murri sam, a wraz otwarły się wszystkie bramy świątyni naościęz.

I kardynał krzyknął ogromnym głosem:

— **Jeśliście przyszli na mszę — wejźcie!**

I nie patrząc więcej na tłum, odwrócił się i wstał w ciemność żarzącego się świecami wnętrza.

Tłum stał w milczeniu. Z chóru zaś bazyliki dały się słyszeć organy.

Jakaś groza, lęk zabobonny przewiał po tłumie.

Wielu podniosło wzrok w górę.

Szafrąński uczył koło siebie wahanie się masowe, ruch kołyszący.

Szafrąński, demagog i heretyk, religji wszelkiej i wszelkiej religijności wróg, odstępca i wolterjanin, na wszystko był gotów, ale tłum zatrzymał się, jakby mu rów głęboki przed nogami wykopano.

Szafrąński zawrzał.

— Psie łuski! — krzyknął, zwracając się ku tłumowi i nie zastanawiając nad dobrorem i znaczeniem słów.—Bydło moczymorde! Pocoście tu przyszli? Rostbify watykańskie! Woły patagońskie! Koty hiszpańskie!

Klął w tak przedziwny sposób, że aż się sam zadziwił, bo we wszelaki sposób klątego się słyszawszy, tak się klątego jeszcze nie słyszał, a przedziwne te wymysły i na tych, na których padały, wielkie uczyniły wrażenie.

Szafrąński grzmotnął kijem o stopień schodów i wrzeszcząc: puście mnie, orangutang! Psy włoskie! Kuce rzymskie! Pijawki z zamku Świętego Anioła!— począł się pchać w dół, roztrącając ludzi i krzycząc:

— Przyszedłem tu za was walczyć z „Baalem!” Przyodziewy piekelne! Kundle biskupie! Woły Świętego Antoniego!

Ktoś go potrącił.

Szafrąński rzucił mu z gestem uchybiające wezwanie i, nie czekając spełnienia, począł się dalej pchać. Ale już nie sam. Posunęła się za nim gromadka ludzi i z tą gromadką spłynął ze schodów na plac i przez plac jął się przec, ale na placu tłum ruszył się za nim. Ludzie, których nie widział przedtem koło siebie, dzicy jacyś barbarzyńcy, „kalibany”, wmieszali się w tłum. Zawziętość, dzicz, bestyjstwo świeciło im z oczu, a jeden z nich ryknął:

— Palić! Mordować! Grabić! Komuna! Komuna!
— Komuna! — zahuczał tłum.

Szafrąńskiego, mimo wszystkich przekonań, przeszył zimny dreszcz. Już nie pochodem, ale biegiem porwany masą, toczył się, wirował, leciał naprzód, party zewsząd. Znikł pośrodku, nie widział naokoło siebie nic, tylko plecy, piersi, łokcie, karki, gęby rozjuszone, sapano naokoło niego, klęto, wrzeszczano, szamotano się, wałąc się kupą.

O jakże gorzko być w tłumie! — przemknęło przez głowę Szafrąńskiemu wiekopomne zdanie.

Tłum jakby uciekał. Huczały za nim dzwony, pędząc go, trwożąc. Zwyciężyły.

Ale już ci, co wiedli na kolumny, stracili władzę nad ludem i pęd tłumy był inny. Szafrąński czuł się zachwyconym przez szaloną jakąś falę. Wędrował z nią razem, wirował, toczył się, pchał, aż nagle uczył się tuż blisko poręczy mostu na Tybrze. Wracano przez Ponte Margherita.

A potem jeszcze przestał czuć pod nogami bruk,

uczul miększą ziemię, ścisk zwolnił, Szafrąński nabrał w płuca gwałtownie powietrza i spojrzawszy w górę ujrzał drzewa. Unoszono go alejami, pośród drzew, a nad wszystkimi krzykami dominowały ryki: komuna! komuna!

Szafrąński orjentował się iż musi być w parku willi Borghese.

Nie mylił się; zobaczył nad sobą spokojną białą figurę na postumencie kwadratowym, wodotrysk, który znał dobrze. I w jego oczach głowa tej figury, ugodzona kamieniem, pękła i skruszona runęła wdół.

— Wandale! — pomyślał wdrygając się Szafrąński.

Znikł znowu w masie, aż uszy jego uderzył huk i stuk, i brzęk. Rozwidniło się nieco przed nim — walono kamieniami w mury i okna pałacu Borghesych.

Szafrąński, jak kula, wtoczył się pod naciskiem przez otwarte już drzwi do sali rzeźb.

I przed oczyma jego rozpoczęła się orgja.

Jak stado dzikich, ohydnych małp, tłum począł szaleć po muzeum. Złote i srebrne naczynia poczęto porywać, rzeźby, brzozy filary sal, stiuki, freski tłuc, niszczyć, druzgotać. Ruina poczęła się tak szybko szerzyć, jak pożar.

„Lecz najstraszniejszy z wszystkich strachów to człowiek rozszałaty jest...”

Statuetka za statuetkę i statua za statua waliły się z łoskotem na marmurowe posadzki.

Tłumowi zastąpił drogę Dawid.

Z jakąś straszną wściekłością wsparty na stojącym u nóg pancerzu, z dziką nienawiścią w ścisniętych brwiami oczach, stanął królewic Berniniego naprzeciw murarzy i kamieniarzy z za Tybru. Goliat nań się walił, ale Goliat zwyciężył. Urną brązową strzaskano mu twarz, potem dziesiątki rąk pchnęły go, że runął wtył, w kawały pękając.

— Ha! Ha! Ha!—zawył tłum na widok Apollina i Dafne. Oderwać jej korę z przed brzucha! Oderwać jej korę! Czy ma? Czy ma?!

I wśród zwierzęcego śmiechu odbito korę drzewa, którem Bernini zasłonił łono Dafne przed Apollinem uciekającej, gdy w laur zbawczy przekwitać ją.

I z tyłu Dafne poczęto odbijać marmur, myśląc, że się biodra pod nim zupełnie odsłonią.

Wybuchy śmiechu, brutalne alluzje do obecnych kobiet huczały. Ale Dafne dała się zdruzgotać, a nie odsłoniła ani wstydu, ani tajnych wdzięków dziewczectwa.

Lecz jej przerażonym, przed boga żądzą uciekającym oczom, szalony przedstawił się widok. Tłum rozbestwił się jej nagimi udami, nagim brzuchem i wzniesionymi piersiami. Chciał ujrzeć to, czego oddruzgotać nie mógł. A znajdowała się tuż wspaniała dziewczyna, Andżelika Vietri, która jedwab w fabryce tkła. Jakby jedną iskrą elektryczną tknięci, skoczyło ku niej kilku młodych kamieniarzy.

— Andżelika! Andżelika! Pokaż! Pokaż!—zaryczały szalone głosy.

Krzykom zawtórowały potężne policzki, które bronila się piękna dziewczyna, pół śmiejąc się, pół klnąc. Lecz w kilkunastu sekundach ujrzał ją Szafranski w powietrzu, głowa jej z zerwaną chustką i olbrzymiami kasztanowatemi włosami opisała na dół łuk, a nad ramionami obecnych objawiło się jej cudne białozłote ciało, nagie brzuch, grube uda i pełne łydki w białych pończochach i tył do pełni księżyca podobny.

— Evviva! Evviva! — wył tłum. — Tulipan!

Potem zakotłowało się koło Andżeliki. Jakiś atleta poczał grzmocić wokoło niej pięściami i uwolnił ją, wpół pod lewą pachę pochwycił, a prawą pięścią i prawem kolanem rum sobie jął czynić, aby ją unieść. Ale masa zwarła się. W kręte, czarne włosy olbrzyma wplotły się mnogie ręce; chwycono go pod gardło i podbito mu kolana. Zachwiał się, puścił dziewczynę i runął. Runęła i ona i ci, co go napadli. Zwił się kłęb charkocących ciał. Andżelika wydarła się i skoczyła w tłum, uciekając. Gdy kłęb się rozwił, Szafranski zobaczył na podłodze w krwawej kałuży atletę z nożem, wbitym po rękajeść w gardło i dwóch kamieniarzy uduszonych, jeden w lewej, drugi w prawej dłoni, sinych, z oczyma wylazłemi z orbit i wypadłemi z ust językami, już martwych.

Szafranski cofnął się—lecz tam koło Pauliny Bonaparte, przez Canovę w Venus Vincintrice marmurem przebranej, tańczył wieniec bab, przekupek czosnku i oliwy, starych wiedźm, makbetowskich poczwar.

— Heu! Heu!—pokrzykiwały i tańczyły, aż jedna najszpetniejsza, wskoczyła na leżący posąg, rozkraczyła nad nim nogi, i marmurowa, piękna, rozpustna siostra cesarza została wstrętne splamiona. A hukiec bab warjował z uciechy.

Kandelabrami, wazami bronzowymi i czerepami marmurów rozszarpano Amore sacro i Amore profano Tycjana. Przed złożeniem do grobu Chrystusa tłum zatrzymał się w orgji niszczenia.

Ale wówczas wystąpił naprzód Szafrąński i kijem rzuciwszy, w stopę przebitą i krwawą Chrystusa uderzył, jak ją mistrz Rafael namalował.

Lecz wówczas wstrząsnęło mu się coś we wnętrznościach. Uczuł, że nie chciał trafić tam, że chciał trafić niżej, w płótno. Chciał się „pokazać...”

Ale na ten obraz nie porwał się tłum, owszem, jakby cofnięto się odeń i od Szafrąńskiego. I pozostał na ścianie samotny, sam jeden, przedarty kijem.

W olbrzymiej czwartej sali rzeźb wrzał „bal”. Na marmurowych stołach w pośrodku, na lwach skrzydlatych opartych, siedzieli, „muzykanci”, na grzebieniach z włosów kobiecych wyjętych i wyrwanych grający. Po szklącej mozaice marmurowej w deseń kładzionej, tańczyły szalone pary proletariatu, a zaś w czarnej wannie kamiennej na przodkach postawionej czterech tygrysów, pośród dwóch olbrzymich waz bezcennych, zdarłszy z siebie stanik i koszulę do pasa, półobnażona owa wiedźma, która Paulinę Bonaparte zohydziła, takt dawała balo-

wi i tańcom wściekłym piskiem i marmurowym członkiem jakimś posągowi męskiemu odbitym, obrzydliwa, potworna, straszna, ohydna.

W sufit zaś, cudnie i bezcennie zdobiony w stiuki i freski dookoła sali, w sceny mitologiczne pomiędzy filarami pod gzymsem sufitu i w amorów z girlandami kwiatów nad drzwiami lecących, strzelano z browningów i rewolwerów.

I nagle Szafrąńskiego porwał gniew i oburzenie. I kijem swoim, którym z karabinierami walczył i którym w nogi Chrystusa i w obraz uderzył, podbiegłszy, przez tył babę tańczącą w marmurowej wannie przejechał.

Baba jęknęła, a sala zawyła śmiechem.

Evviva! Evviva!

Herkules z Hydrą!

Albowiem baba, wyskoczywszy z wanny, rzuciła się z paznogiemi i marmurowym odłamkiem w dłoni na Szafrąńskiego.

Szafrąński powitał ją krzyżem kawaleryjskim, z prawa w lewo, bo i w kawalerji służywał, poczem piorunująco dał jej kwartę w łeb. Babę zgłuszył i na posadzkę zwałił.

— Wiwat! Wiwat, Polak! Niech żyje Polska! — huknęły ci, co Szafrąńskiego znali, a za nimi tłum.

W mgnieniu oka Szafrąński znalazł się na barkach kilkunastu ludzi.

— Triumfator! Triumfator! Pogromca hydry lernejskiej! — wrzeszczał jakiś inteligent zrewoltowany.

Ale tłum był głodny i chciał rabować. — Na

sklepy! Jeść! Pić! — krzyknięto i poczęto tłumnie, w natłoku, opuszczać ruinę pałacu Borghesych.

Wypadli. Szafranski nie poszedł za nimi.

Poszedł on do sali, w której nietknięta, a tylko splamiona na marmurowej, miękkiej sofie i miękkiej poduszce, w lubieżnej pozie wsparta na rękę, do pół naga leżała Paulina Bonaparte Canovy, i nie widząc nigdzie szmaty, wyciągnął własną czerwoną w białe szerokie kraty chustkę z tylnej kieszeni surduta i obtarł posąg.

— Paulina Bonaparte — mruczał — siostra cesarza... Jego, który światem trząsał, a pod Somo-Sierra rzekł: je vous reconnais pour la plus brave cavallerie du monde; któremu w śniegach Rosji polscy żołnierze krzyczeli: wif lamperer! i który pod Lipskiem powierzył armję honorowi Polaków... Szafranski oczyści jego siostrę... Napoleona...

I wyszedł wolno zpośród gehenny zniszczenia do parku, skąd tłum walił się w miasto jeść i rabować.

* * *

Mieczysław Gwoździk z bijącym sercem stał w szeregu. Powstawał świt promienny i jasny.

Powstawał wielki dzień.

Z bijącym sercem stał Mieczysław Gwoździk w szeregu.

Tam, w Krakowie, przy ulicy Krupniczej majster Palonek w rozchełstanej koszuli, z rozczochranym żółtym włosem i w opadających spodniach krajał

ubrania „dla panów z agronomji i jednego majątnego Żyda, co miał sklep, bo się Żydzi do niego rzucili“, i narzekał, że mu taki „dobry i ućciwy“ robotnik ubył. On, Mieczysław Gwoździk, napisawszy list do matki z pożegnaniem, odłożył narpastek i nożyce i w różny sposób przemycił się poza linje graniczne do obozu.

Strzelano za nim, ale uciekł.

I przystał na ochotnika. Wcielono go do trzeciego pułku piechoty, drugiego bataljonu, pierwszej kompanji. W mig nauczył się tyle, ile trzeba było umieć, aby słuchać, strzelać, zabijać i ginać.

Jak kula w ucho, rozległ się nad Gwoździkiem głos kapitana: baczność! marsz!

Nie było czasu się zastanowić, kiedy ten rozkaz od góry wydano; Gwoździk już maszerował w szeregu, coraz prędzej, i prędzej, i prędzej.

Gwoździk nie wiedział dokąd idzie, wtłoczony w środek szóstki robił, co inni robili, to jest gdy widział, że inni coraz prędzej iść zaczynają, coraz prędzej zaczął iść także. Tyle rozumiał, że go wywiedli za okopy obozu i że go wiodą na nieprzyjaciela. Ścisnął karabin i maszerował raz, dwa, raz, dwa, w szalonym tempie najszybszego marszu. Krew się w nim rozgrzała, gorąco biło pod czako.

Regularny szyk złamał się, żołnierze weszli pomiędzy pagórki, potem na szerokie pole świeżo uprawne. Stój! — krzyknął kapitan. Gwoździk stanął z innymi. Jeszcze słowo komendy i Gwoździk

wskoczył w rów głęboki pośród roli. I usłyszał po raz pierwszy armaty.

— Już — zaczyna się — szeptał ktoś obok niego.

Armaty grały gdzieś bardzo daleko, o jakieś mile całe. Gwoździka ogarnęło miłe uczucie, że niebezpieczeństwo tak odległe...

Gdy stał w obozie, musztrowano go tak gwałtownie, wraz z innymi ochotnikami, że nawet myśleć o niczem nie miał czasu. W dwa tygodnie musiał się obeznać ze służbą, karabinem i sposobem wojowania. Potem nagle dowiedział się, że nazajutrz rano ma iść na bitwę. Napisał list do matki z wieczora, a potem, gdy legł, jał się modlić, ale usnął i nic mu się nie śniło. Obudzono go jeszcze w nocy. Zerwał się, obmył w potoku, ubrał i po raz pierwszy kazano mu na to, aby do ludzi strzelał, nabić broń.

To było dziwne uczucie. Drzącymi rękoma, z jakąś mgłą na oczach wsuwał magazyn z pięciu kulami w otwarty karabin. Te pięć patronów, te pięć stożków metalowych w mosiężnych gilzach, pięć pocisków cichych, błyszczących, spokojnych, jakby sennych, napelniało go nieznanem i nieopisanem wzruszeniem przerażeniem, grozą. Wydało mu się, że robi po raz pierwszy zupełnie coś innego, jak robił niezliczoną ilość razy przez te dwa tygodnie, kiedy go uczono strzelać od drugiego dnia ostre mi nabojami. Nabijał, mierzył, ciągnął cyngiel wkońcu już nie widział naboju i nie słyszał strzałów, jak kowal nieustannie kujący nie widzi obcę

i nie słyszy huku młota, choć niemi robi. To już było życie. Ładunki nie były ani ciepłe, ani zimne, karabin nie był czemś straszmem. W chwili nabijania na bitwę ładunki piekły zimnem, karabin wydał się Gwoździkowi czemś przerażającym, obcem, potwornem. Przedewszystkiem, gdy dotychczas był on rzeczą Gwoździka, jego sprzętem, drewnem i stalową rurą w jego rękach, zależnemi od niego, od jego woli, teraz wydało się Gwoździkowi, jakoby on wchodził w zależność od swego karabina, jakby karabin zaczął panować nad nim i jakby on właśnie do tego karabina był dodatkiem, jego sługą, jego obsłużycielem, ale nie jego panem. To karabin szedł w bitwę, przedstawiał liczbę, szedł się bić i zabijać — on, ośmnastoletni Mieciek Gwoździk z Dobczyc, miał go tylko nieść, miał zeń mierzyć, miał pociskać cyngiel i wyrzucać wypalony magazyn — i mógł zginać.

Mieczysław Gwoździk ścisnął zęby i ścisnął karabin — gdy o sto kroków od niego padł granat, ogień, dym, grzmot i jęk napełniły powietrze.

— Djabli! Odkryli nas! — szepnął porucznik.

W mgnieniu oka, na krótkie rozkazy, Gwoździk opuścił rów — wpadli we wzgórkę, wdrapali się między nie.

Raz wraz grzmiały zdaleka strzały armatnie. Granaty podające zrazu na dawną linię, poczęły przelatywać nad nimi.

— Udało im się przypadkiem! — szepnął porucznik. — Teraz nas tak prędko nie znajdą.

Granaty leciały nad głowami.

Zdała widać było ze wzgórków wielkie jezioro, świetlejące przy wschodzie. Niebo było czyste, błękitne, bez chmur. Jakże daleko były Dobczyce... Stragan z bułkami i chlebem matczyny... Dom pana sędziego Ścibora...

Nagle porucznik, unosząc się do pół z ziemi, krzyknął: bacność! — i wskazał ręką przed siebie.

Gwoździk wyteżył oczy: tak — tam się coś ruszało.

— Pall — padła komenda.

Gwoździk zadrzał, uczyniło mu się gorzko i sucho w ustach, przycisnął karabin do ramienia zamknął oczy i strzelił...

— Pall! Pall! — powtarzał porucznik błądy i zgorączkowany.

Gwoździk strzelał — z zamkniętymi oczami wysypywał jak w tumanie pięć kul.

Wtem ziemia obsypała mu twarz. Kula padła.

Miał ochotę wyjąć ją i zobaczyć — w jednej błyskawicy wrażenia czuł ją przed sobą zarytą w ziemi, śmiertelną i bezsilną...

I w jednej błyskawicy wrażenia opanowała go wściekłość. Strzelano do niego, zabić chciano — matce...

Wymierzył, nie zadrzał, strzelił.

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć — kulę po kuli siał w tę stronę, gdzie ujrzał ruszającą się linię nieprzyjaciół.

Porucznik patrzył przez lornetę.

— Dobrze! Dobrze, Polak! — zawołał. — Zabiłeś oficera, co wstał z ziemi!

Nie widziałem — chciał odpowiedzieć Gwoździk, ale uczył język przyklepiony do podniebienia. Bełkotnął tylko.

Gdy oswoiwszy się z ogniem i niebezpieczeństwem rozejrzał się naokoło, poznał, iż z całych wzgórz strzelała piechota, a z poza niej armaty.

Ku porucznikowi podpełznął kapitan i ozwał się wśród huku:

— Całą siłą prą na nas. Nie wiem czy wytrzymamy.

— Chcą nas oskrzydlić?

— Tak. Od strony jeziora.

Wtem piekło rozwarło się nad głową Gwoździka. Granaty znalazły żołnierzy na wzgórzach. Ziemia wrywana wylatywała jak kurz płomienny w powietrze. Zasypano ogniem i ołowiem pagórki — po raz wtóry usłyszał Gwoździk rozkaz cofnięcia się.

Spojrzał na porucznika. Porucznik był przerażony. Obok kaprał kłął w głos.

W serce Gwoździka wstąpiła straszna myśl — czyżby wódz naczelny nie zdołał...?

Ale nie było czasu myśleć; gdy spełniono z pagórka w jar i zachylnono się nieco przed granatami, pułk dostał rozkaz cofnięcia się z linii bojowej i odejścia na prawo, co też biegiem czynić rozpoczął.

Gwoździk słyszał, jak kapitan mówił w biegu do porucznika:

— Straciliśmy pozycję.

— Gdzie idziemy teraz?

— Nie wiem...

Otchłań ciemna rozesłała się przed oczyma Gwoździka. Gdy kapitan nie wie...

Biegli poza wzgórzami, zasłonięci przed ogniem nieprzyjaciół.

Gwoździk tuż nieopodal za pułkownikiem, który jechał konno. Wtem oficer sztabowy w największym galopie przypadł do pułkownika, dając znaki, by stanął. Zaryto się butami w ziemię. Oficer pomówił krótko z pułkownikiem, siwym, ogorzałym, czarnookim kolosem, a ten wznosił się na siodle w strzemiionach i wrzasnął.

— Chłopcy! Na ochotnika! Stu ludzi!

Mieczysław Gwoździk — wszak on był ochotnik — na ochotnika to gdzieś na śmierć, kiedy tak wołają — w Imię Ojca i Syna — ja! — krzyknął.

— Ja! Ja! — rymnęły głosy.

— Z szeregów!

Zapał ogarnął bataljony — krzyknięto: hurra!

— Gdzie się odezwali pierwsi? — wrzasnął pułkownik.

— U nas! — odkrzyknięto mu z pierwszej kompanji drugiego bataljonu.

— Więc marsz! Niech was Bóg prowadzi!

I zwróciwszy się do kapitana wskazał szablą wysokie wzniesienie terenu, zarosłe krzakami.

— Wyczołgać się! Przypuścić na sto kroków!

I popędził z resztą pułku dalej. Sztabowiec galopem wrócił, skąd przyjechał.

— Cóż ty wiesz, człowieku? Nic! — mrucał kapral za uchem Gwoździka.

W największym pośpiechu poczęto się wspinać na wzniesienie, zrazu idąc, potem na kolanach, potem czołgając się, jak węże. Gwoździk poszarpał spodnie i mundur, krew broczyła mu z rozciętej krzemieniem ręki za lewą dłońią; darł się między krzewy, aż wyczołgał się na płaszczynę na wzniesieniu.

— Pst! Pst! Pst! — psykano na siebie.

— Cóż ty wiesz, człowieku? — mruknął znowu kapral już nie za uchem, ale obok Gwoździka w za-
roślach.

Z drugiej strony leżał porucznik tuż blisko.

Kurz wzbijał się na pastwisku, które rozciągało się za wzniesieniem. Ktoś, jakieś wojsko nieprzyjacielskie zbliżało się. Gwoździkowi poczęło bić okropnie serce.

Rozeznał — z kurzu wyłoniły się naprzód groty lanc, potem pierwsze mundury. Klusem zbliżali się kawalerzyści.

Naprzód jechał dowódca, zapewne pułkownik, na kasztanowatym koniu, za nim trębacz na białym, oficerowie — potem szereg pierwszy wynurzył się z kurzawy, ósemką, bo miejsce szerokie, drugi, trzeci...

Zamigotały w porannem słońcu lance, czeka, pałasze, mundsztuki u pysków końskich... Jechali tak, jakby im nic grozić nie mogło.

Wtem porucznik szepnął do Gwoździka: Polak — patrz — tam — tu pewna śmierć... Żywa noga nie ejdzie...

Gwoździk wzniosł oczy: naprzeciw, nieopodal, poza jeźdźcami, również na wzgórzu, stały armaty. Tam, gdzie znajdował się Gwoździk, szukać nie było potrzeby, obliczać kąta elewacji — na oko można było walić. Krzaki tylko osłoniły niedostrzeżone wdrapanie się garstki stu ochotników.

To pewnie wódz wypatrzył przez lornetę ruch kawalerji i posłał oficera, aby na ochotnika — na zgubę pewną...

Jeźdźcy byli o jakie sześćset kroków, o pięćset, o czterysta...

Gwoździk leżał przy karabinie, rękoma go ścisnął, o Dobczycach i matce myślał, a miał ochotę wyciągnąć rękę do porucznika i ścisnąć go za rękę. Oddech tłumiał. Ach! Ścisnął porucznika za rękę, wyżej łokcia...

Kawalerzyści jechali, chłopcy tęgie na kasztanowatych koniach, lance w pogotowiu wzniesione nad głowy, wsparte przy kolanie.

Dokąd jechali, poco — Gwoździk nie wiedział. Zarośla zasłaniały widok.

Przed nim była duża przestrzeń próżna — pastwiska.

Szwadron pierwszy zbliżał się. Ósemka za ósemką. Słyszać było tętent i brzęk. Pozwolono im minąć wzgórze — rozciągnęli się wzdłuż zarośli nad sobą.

Wtem porucznik ścisnął Gwoździka za ramię.

— Polak! — szepnął.

Nagle: pal! — huknął głos kapitana. Gwoździk,

który wymierzył do rotmistrza, będącego najbliżej, pocisnął cyngiel. Runęła salwa. Sto, a raczej pięćset strzałów prawie w mgnieniu oka. Koń rotmistrza, trafiony Gwoździkową kulą w zad, wspiął się i zrzucił jeźdźca. Straszliwy wrzask napełnił powietrze. Jeźdźcy zmieszali się, prażeni ogniem. Łańcuch się przerwał. W zamieszaniu poczęli się tłoczyć, naciskać nawzajem. Ludzie i konie padali, poprostu mordowani kulami. Pułk rozbił się, rozsypał, skotłował. Gwoździk naładował karabin na nowo, gdy armaty z przeciwnego wzgórza bluznęły ołowiem.

— Polak! — krzyknął porucznik po raz wtóry ściskając ramię Gwoździka, ale chwyt to był inny, straszny jakiś. Gwoździk w przerażeniu zwrócił głowę. Porucznik, trafiony odłamkiem granatu w czoło, przekreślił się nawznak, jęknął i skonał.

— W dół! — krzyknął kapitan, zrywając się z miejsca i w tej chwili padł z urwaną głową i obu ramionami.

Gwoździk z karabinem w ręku susami pędził naprzód, skakał z nogi na nogę, aż mu się w brzuchu podbijało wszystko; przez chwilę widział się zupełnie sam — nikt nie biegł około niego.

Pod wzgórzem, zakryty od armat, czekał dowódca bataljonu. Wyszło stu, zeszło trzydziestu siedmiu, zdrowych jedenastu.

Między tymi jedenastoma był Gwoździk.

Odesłano ich wraz z całym zdziesiątkowanym pułkiem w tył linii bojowej, gdzie już Gwoździko-

wi do wieczora broni do oka podnosić nie przyszło. Wieczorem cofnięto ich jeszcze więcej w głąb, we wzgórze ku obozowi, aby odpocząć po całym dniu pracy bojowej mogli.

Gwoździkowi szumiało w głowie. Szumiało mu w niej od samego świtu, od pierwszego strzału, czuł to, ale czasu nie miał zwracać na to uwagi. Zjadł kawałek kielbasy, który mu dano, napił się kieliszek wódki z manierki i rzucił się na ziemię, głową na tornister.

Noc była ciemna i chmurna, na deszcz się zanosiło, ale raz po raz olbrzymie reflektory nieprzyjacielskie rozpościerały lunę na niebie, albo swoje wysyłały luny nad stanowiska nieprzyjaciół. Armaty grzmiały i grzmiał nieustanny grzechot karabinów maszynowych. Zakryci pagórkami, w pobliżu rezerw, poza linią bojową, leżeli spoczywając żołnierze trzeciego pułku piechoty.

Gwoździkowi szumiało w głowie... Jakże daleko były Dobczyce, izdebka matki, jej stragan w rynku dobczyckim i kamienica pana sędziego Ścibora... Jakże daleko był warsztat krawiecki majstra Palonka z rozczochranym żółtym włosiem, w opadających spodniach...

Gwoździk, gdy tylko usłyszał, iż wojna wybuchła, zaraz się ochotnikiem zameldować postanowił. Bo gdy Gwoździka przywiozła matka do terminu z Dobczyc, on zgłupiał i począł niedzielami łązić po Krakowie jak błędny.

Tu wieża odrapaną samotna z ptakiem czarnym

na wierzchu, ówdzie gmach ogromny. Sukiennice, kościół o dwóch wieżach, wysoki pod niebo, figura wielka z figurami naokoło na postumencie... Polazł, zobaczył i zagapił się na bramę z czerwonej cegły i basztę przed nią... I olbrzymie zobaczył mury, wieże na górze nad Wisłą, wylazł na Zamek, zobaczył kościół, dziedzińce, okna, armaty, wozy, wplątał się między żołnierzy, lajtnant klapnął go w łep i powiedział: verfluchte polnische szwinia! gdzie leze?!!

Polazł potem przez błonia het, na kopiec, w nadzieję na wiosnę... Wskrobał się na górę i zobaczył tyle świata, jak nigdy jeszcze... A to była Polska — Galicja, jak go uczono w Dobczycach...

I słyszał Zygmunta w wielki czwartek...

I tak rósł, czuł i myślał... Łaził na galerję na „Wesele” i uczył się na pamięć „Trylogji”.

Socjaliści, towarzysze, którzy go zwerbowali, śmiali się z niego, że jest tuman i poeta... On chodził jak błędny po Krakowie... Tak mu się wydawało, jakby chodził we śnie, pośród wież, dzwonnów, popod Zygmuntem na Zamku, nad Wisłą...

I tu jakby ze snu się ocknął, wydało mu się, jak to, co mu się śniło, stało się życiem, rzeczywistością...

Oto karabin ma przy ręce i nie jest już Mieczkiem Gwoździkiem, czeladnikiem krawieckim, socjalistą tumanem i poetą, ale ochotnikiem żołnierzem.

Bije się, walczy...

— O czym myślisz, krawczyk? — zapytał Gwoździka towarzysz z kampanji, Polak, Krupiński, z zawodu geometra.

— E tak se ta rozmyślam.

— Nie wiem, czy nas tu djabli nie przynieśli... Kak dumajesz, Wasyl Iwanowicz Kokoszkin? — zwrócił się do sąsiada.

— Da, da... Nie Kokoszkin, a Kurakin — odpowiedział zagadnięty. — A czemu tak?

— Bo ja myślę — mówił Krupiński — że co będzie, to będzie, a my mamy swoje polskie szczęście... Ja mam pamiętniki rodzinne, bo my jesteśmy szlachta i pieczętujemy się Orlą... Jeszcze mój pradziad Wincenty miał dwie wsie w Augustowskiem. U mojego starszego brata, co jest lekarzem w Sądowej Wiszni w Galicji, są pamiętniki... Mojego prapradziada pamiętnik zaczynał się od słów „z wiarą i nadzieją”, i potem znowu w 1806 zaczynał się „z wiarą i nadzieją”. Potem pamiętnik mojego dziada w trzydziestym pierwszym zaczynał się „z wiarą i nadzieją”, ale mojego ojca — szesnaście miał lat, siwy się ożenił — zaczynał się już — „bez wiary i nadziei”...

— Da, da...

— Ale ja pomyślałem sobie: nie mam baby, nie mam dzieci, a jak mam, to nie wiem o nich, szlachcic jestem, bił się pradziad, dziad, ojciec, pójdę się i ja bić...

— A wy, Stanisław Stanisławowicz, „z wiarą i nadzieją”? — zapytał Kurakin.

— Całuj mnie! — odpowiedział Orla Krupiński.

— Wy i sławno bijali — przeszedł Kurakin do porządku dziennego,

Krupiński machnął ręką.

Mojemu pradziadowi jeszcze trzydzieści pługów orać wyjeżdżało, a ja chłopom stajania mierzyć musiał... Myślę se: raz maty rodziła — — trochę, panie dobrodzieju, bez wiary i nadziei ot tu, z karabinem w rękę. Wstyd, ułańskie dziecko — na koniu raz siedziałem, na majówce w trzeciej gimnazjalnej. Uczyć mnie tu nie mieli czasu.

— Pessimista, arystokrat — wot szczery Polak — rzekł Kurakin.

— Wybije się co, to dobrze, nie, to może przynajmniej geometrą już nie będę potrzebował być, jak się odznaczę; a zabijają — to też niema czego żalować — — pamiętników rodzinnych, linki mierniczej i —

Splunął przed siebie.

— A ty, Wasyl Iwanowicz, ciebie ki djabeł tu przygoñił?

— Mnie? — odpowiedział Kurakin. — A ja służył w miejskim urzędzie — — to mnie, mówię ci, brat, tak zbrzydło, że jej Bohu! Ja się strzelać chciałem!

— Ale robił, jak drudzy?

— Trudno było, robił — odparł Kurakin. — Nie był hardy.

Krupiński zaczął się śmiać.

— Ale nie mógł ja wytrwać. Myślę sobie: niech się dzieje co chce. Ogień czyścicowe dusze czyści...

Nu, tak ja i biuro rzucił, służbę rzucił, żonę i dzieci rodzicom powierzył i tu morzem przyjechał i zameldował się, służyć chce.

— Toś ty ideowiec, Kokoszkina, marzyciel? Dekabrysta?

Kurakin zaczął się śmiać dobrodusznie.

— A wy, Stanisław Stanisławowicz — pessimista i arystokrat, ha, ha, ha!

— Ja? Straceniec szlachecki. A ty, krawczyk — he, ty, śpisz?

— Nie śpię, proszę pana — odpowiedział Gwoździak, który się z uwagą przysłuchiwał rozmowie.

— Jak cię to nazywają? Ćwiek? Bretnał?

— Gwoździak, proszę pana.

— Ty z Podgórze, czy z Czarnej Wsi?

— Z Dobczyc.

— Al! A ty, Guziku, panie dobrodzieju, krawczyk, zkad tu? Dla idei?

Gwoździak czuł, że się czerwieni.

— Ja, proszę pana — rzekł — byłem pięć razy na „Weselu” pana Wyspiańskiego, czytałem trzy razy „Ogniem i mieczem”, „Potop” i „Pan Wołodyjowski” pana Sienkiewicza. Nawet dużo napamięć umiem.

— Ty nie socjalista?

— Socjalista, proszę pana, ale to jedno drugiemu nie wadzi.

— A to dziwne, panie dobrodzieju, bo ja miałem z Krakowa murarskiego pomocnika, co mu się murować nie chciało i potem za mną słupki mierznicze nosił. Pytam się go raz: panie Pietraszek —

Pietraszek się psiakrew nazywała — panie Pietraszek — a głupi był, cham prosty z Krowodrzy, z ojca murarza, ale mu pan trzeba było mówić — pan! otóż mówię mu: panie Pietraszek, wyście socjalista?

Socjalista — mówi bestja.

No to co ty robisz, panie Pietraszek? — pytam się go.

A no, mówi, proszę pana geometry, płacę do kasy, jak jest mowa w ujeżdżalni na Rajskiej, to wołom: hańba! a jak jest rano socjalistyczny pochód, to idę po południu na rynek i burżujów popychom.

A jakby pana burżuj popchnął?

To w mordę! Równość ma być!

Ślicznie, mówię mu, a jak pan, panie Pietraszek, socjalizm rozumie?

Co jest burżujów — powiada — powinno być moje.

A co twoje, panie Pietraszek, to burżujów? — pytam się

Nie.

A to czemu?

Bo ja, mówi, jeżdżem towarzyszy, a burżujom hańba! i kapitał wyzyskuje pracę.

No to co pan, panie Pietraszek, pytam się jeszcze, rozumiesz za swój obowiązek, jako socjalisty?

A ten: do kasy płacić miesięczne wkładki i żyć, jak bogate burżuje żyjom, bo wszyscy ludzie równi.

A to któż będzie pracował?

A on do mnie: panie geometry! Pokazać panu perskie oko? A wiesz pon, kiedy jo murowałem na

Zamku, przy odnowieniu, przychodzi do mnie architektki i powiada mi: Pietraszek, jo już pół godziny patrę na twojom robote, cóż to za praca? A jo mu na to: panie architektki, mówie, jo tu jezdem nie poto, żebym pracował, mówie ino żebym zarabiał.

A on co? — pytam się.

Poszedł do majstra.

A majster?

Do podmajstrzego.

A podmajstrzy?

Do d... za przeproszeniem pana geometrygo, mówi, bo jakby był słówko pisnon, toby sie był z towarzyszami poznoł! My mamy kooperatywe, kapitał nos wyzyskiwać nie bedzie! Hańba!

— Nu, tak szto wy jemu na to, Stanisław Stanisławowicz?

— No cóż? Miałem ochotę go trzasnąć w pysk, alem się też z towarzyszami bał poznać. A tyś też takiego przekonania, krawczyk?

— Ja — począł bąkać zmieszany Gwoździk — ja, proszę pana, ja nie wiem, ludzi powinni być równi, a, jak mówi poeta do panny młodej w „Weselu”...

— Całuj mnie z twojem „Weselem! — przerwał mu Krupiński. — Będziesz tu miał „Wesele”, jak cię huzar szabłą przejedzie — i trylogję od granatu, od kuli i od bagnetu. Literat! A czarnygo surduta byś się podjął? Krowodrzanin? Chaupa?

Gwoździkowi przykro się bardzo uczyniło i onieśmielił się do reszty.

— Prosze pana geometrygo — zaczął, spletał mu się język i ucichł.

— Jakisiś ty niebardzo podobno mądry, panie Gwoździk?

— Stanisław Stanisławowicz, dajcie spokój; to dzieciak, a tak i pięknie, że tu jest.

— Pięknie, tylko powinien był do piekarzy iść!

— A to czemu, proszę pana? — wybąkał nieśmiało Gwoździk.

— Boś głupi, boś cham i bom zły! — rzekł Krupiński, odwracając się plecami.

— Nu tak szto, brat? A? Krupiński? — zapytał się po chwili Kurakin.

— Szto? Ot szto, Wasyl Iwanowicz Kobyłkin! Jeżeli nie wyginiemy, to nas wszystkich djabli wezmą!

— Da, da, nu — odmamrotał Kurakin chwytając sens.

Głusza i cisza nocna owładła świat mimo armat i ciemność osłaniała ziemię mimo reflektorów.

Krupiński ozwał się:

— Patrz Iwan Wasylewicz, jak potęga wszechświata czyni swoje... Ta wojna, bitwa, nic... Noc nie dba o to. Wchodzi i robi swoje. Poco to wszystko? Czy nie wszystko jedno? Tłucze się kupa pcheł, strzelają do siebie, mordują się — poco? naco? Świat nie wie nawet o tem. Przejdą, miną, zostanie kupa gnoju i więcej nic! Ot polityka, patryjotyzmy, nacjonalizmy, zagadnienia i kwestje ekonomiczne, racje bytu, egzystencji — — ot „historja”. A chodziłeś ty, kolega krawczyk, na Hamleta?

— Gdzie, proszę pana? — zapytał wystraszony Gwoździk.

— Tam, gdzie król piechotą chodził!

Straszliwy był ten nieustanny grzmot armat i huk karabinów. Wydawało się, że cały mrok przepelniony jest tym okropnym hałasem, cały świat wkoło i ponad głową.

— Ah — ozwał się Kurakin — pomnę ja — tę pierwszą salwę, którą w życiu słyszał... Za miastem — — strzelali do ludzi — — w fabryce... Nic to, co tu teraz słyszę... Ja ścierpl na kość... Ah! Pomnę ja i nie zapomnę... Wieczór... Otoczyli fabrykę, przędzalnia była, wielkiego kupca, milionera... Pierwszy trzask karabinów, jaki ja w życiu słyszał...

— Hej, krawczyk, kolega, nie obrazisz się? — zwrócił się do Gwoździka Krupiński.

— Albo co, proszę pana? — zapytało się okropnie nieśmiało Gwoździkowi.

— Wiesz mnie gryzie, obozowy słowik. Złap, bo ręką nie sięgnę.

— Gdzie?

— No tam, niżej, za kołnierzem.

Gwoździk jakby z radością jakąś jął spełniać tę posługę; nieśmiało, z uszanowaniem dotykał ręką skóry potomka pana, który miał dwie wsie w Augustowskiem i potomka żołnierzy. Złapał.

— Masz?

— Mam.

— No to zobacz!

Kurakin się zaśmiał, z „prostoserdecznej duszy”,

a gdy przestał, tęsknym, bolesnym, pełnym żalości i rozpaczy głosem nagle począł nucić zoiha, przeciągle Krupiński:

„Hej, hej, kopalnia cyn...

Hej, matka gorzałka,

a śmierć generałka...

Kto idiot? Swój! Ty mój?... Ja nie wasz"...

Armaty grzmiały wśród lun reflektorów i grzmiał grzechot karabinów. Wilgotny wiatr ciągnął gdzieś od morza ku stepom.

Z drugiej strony Gwoździka ozwali się milczący dotąd dwaj żołnierze.

— Panie kapral, wiedzą co jutro?

— Jutro?... Wojna.

— Dziękuję pięknie, panie kapral, wiedziałem g..., teraz wiem dwa.

Przygnębienie wniknęło w duszę Gwoździka.

Nie wiedział nic. Jutro?... Jutro?... Jutro?...

Nietylko on nie wiedział nic, nietylko podoficer, kapral, ale i oficerów mówiących słyszał, że nie wiedzieli nic.

Wiedział tylko on, wódz naczelny.

Gwoździk począł weń patrzeć oczyma duszy, jak w słońce...

Wtem straszliwe, ciężkie jęki, stękania i charczenia i odgłos kroków dały się słyszeć.

— Wasyl Iwanowicz, niosą rannych...

— Da, da... Jutro może i nas tak...

Znów ozwali się dwaj żołnierze:

— Panie kapral, a co ci ranni z pierwszej kompanji, co tam, na wzgórzcu?

— A no — zesli.

— To ci, co mogli zejść; ale ci, co nie mogli?

— Ci?

— Aha!

— Ano — — ci zostali.

— Tam?

— A tam.

Chwila milczenia.

— Panie kapral? Wiedza, tam jeszcze mogą być żywi.

— A mogą.

— Komu brzuch poszarpało, albo nogi pokaleczyło — może żyć.

— A może.

— Zostawili ich?

— A któż miał po nich iść? W to piekło? Kto zlął o własnej sile, tego wzięli.

— A kto nie?

— Został.

— Tam?

— Tam.

Znowu chwila milczenia.

— Panie kapral!

— Co?

— To ludzie.

— A ludzie.

— No to jakże tak? Mogą być żywi? Męcą się?

— Wojna.

— Chodźmy po nich. Szukać.

— Gdzie?

— Tam.

— Tam?

— Oni tam jęczą, wody wołają...

— Tam nikogo niema.

— To też to!...

— Śmierć.

— Ja idę.

— Bez rozkazu nie wolno.

— Zamelduje się do kapitana.

— Kapitan spi.

— Obudzę.

— Ty oszalał? Co?

— Ja nie oszalał, panie kapral, mnie ich żal.

Oni się tam przewracają we wnętrznościach swoich, czołgają się, jęczą...

— Pójdę i ja! — ozwał się Krupiński, który usłyszał.

— Da, da, tak i ja...

— I ja — rzekł Gwoździk.

— Panie kapral, niech idą z nami do kapitana.

— Wy durni — on nie puści — —

— Niech idą!...

Kapral wstał, szcęknął karabinem.

— Nie trza broni, nosze skąd wziąć — rzekł Krupiński.

Wstali i poszli; kapitan nie spał — siedział na kamieniu w płaszcz owinięty, z głową wspartą na rękach, o kolana opartych.

Wysłuchał meldunku kaprała, wstał i sam poszedł do majora zapytać.

Po chwili wrócił z odpowiedzią: przybrać dwudziestu ludzi, nosze wziąć, pochodnie i isć. Kaprał niech wiedzie.

Kapitan kazał wstać z leż dwudziestu żołnierzom — pobrali pochodnie, poszli.

Trafić ku wzgórzom było łatwo — reflektory świeciły.

Meldowali się wielokroć dokąd idą wartom.

Doszli. U stoku pagórka, głową na dół, leżał trup.

Gwoździk poznał go zaraz: to był podoficer, miał urwaną prawą rękę, tu się doczołgał i ostatek krwi zeń wyciekł.

Dalej leżało dwóch, poszarpanych na całym ciele.

— Żyjecie?

Nic — milczenie. Pomarli.

Wiatr świszczwał po krzakach.

Głuchy, z pod serca jęk.

— Żyje!

— Da, da...

Znaleźli żołnierza: rozdartą miał pierś.

— Wody! — jęknął.

Podali.

Chciał pić — zarzęziło mu w piersiach.

— Nie mogę... pali...

Umarł.

Rozeszli się po wzgórzu po kilku z noszami i światłem.

Tu i ówdzie wołano, tu i ówdzie sterowały jęki. Jeden ranny w głowę na ich widok zaczął kłać: Psie syny! Draby! Zostawiliście!... Dziewiętnaście godzin bez wody!... Możecie przyszedli kraść?! Na tu — zegarek — psiał!...

Wyciągnął rękę z okrwawionym zegarkiem.

— Szukaj tam, w kieszeni, pieniądze... Weź... Nażryj się... Psiakrew!...

Omdlał.

Gwoździk w niesłychanych pozycjach widział ludzi przy świetle pochodni, niesłychane oblicza. Zęby wyszczerzone widział, oczy wpółotwarte, nogi i ręce sztywne, z krzaków sterzące, ciała leżące na brzuchach, lub piersiami ku górze, w skurczach, skrętach, niewypowiedzianych kłębach i skrzywiegniach. Straszniejszy nierównie widok przedstawiali ci, którzy umarli z ran w męczarniach. Leżeli z rękami wzniesionymi do góry, z otwartymi w jęku ustami, lub tak, jak ich wijących się z cierpień śmierć chwyciła, twarzami ku ziemi, niektórzy gryząc ją, z pełnymi żwiru ustami, niektórzy przywarci do gruntu, jak żaby zabite. Inni konali z pragnienia, leżeli wyciągnięci, z liśćmi krzewów jodłowych przy wargach.

Straszny był trup kapitana: plecami do góry, bez głowy i ramion, jak ryba jakaś potworna z łbem odciętym.

Znoszono rannych. Gwoździk, Krupiński i Wasyl Iwanowicz nieśli podoficera ze strzaskanem kolanem. Już byli do pół zbocza, gdy Gwoździk rzekł:

— Ponieście we dwóch; pan, panie Krupiński, jest bardzo mocny...

— Byłem w „Sokole” w Czerniowcach.

— Ja zaraz przyjdę.

— Gdzież idziesz, krawczyk krakowski?

— Zaraz; wrócę na szczyt. Zaraz tu będę.

— A sztoże tam, brat?

— Nic, nic...

Puścił nosze i począł wspinać się na pagórek; w stronę, z kąd celował do rotmistrza, gdzie leżał porucznik zabity. Znalazł go. Młodzieniec leżał twarzą ku wrogom zwrócony, oparty rozszerzonymi ramionami o krzak, sztywny i tak spokojny ruchem martwego ciała, jakby spał. Twarz miał jakby zamysłoną, nic bólu, nic przestachu — rysy się wyciągnęły i zastygły z wyrazem, jakby zabity słuchał był w chwili śmierci dalekiej, melodyjnej muzyki. Gwoździuk ukląkł, wy dobył medalik poświęcany z za koszuli i dotknął nim czoła i serca zabitego. Wzruszenie zdławiło mu gardło.

A w uszach zabrzmiała pieśń Krupińskiego, jakby skądś z zaświata daleko:

Hej, hej, kopalnia cyn...

Hej, matka gorzałka,

a śmierć generałka!

Kto idiot?... Swój!...

Spojrzał przed siebie. Tam, w dole, jak okiem niemal sięgnąć, pole zasłane było trupami, i tu, na wzgórkach wokoło trupy, trupy, trupy...

Gwoździuk zdjął strach. Zimno cmentarne powiało nań, jak z grobów. Jak okiem sięgnąć, w mroku krew, trzewia ludzkie, końskie brzuchy poszarpane, członki pogruchotane, potrzaskane i podziurawione. Okropność, zgroza!...

Zatrząsł się i począł zbiegać na dół. Dopadł towarzyszy.

— Pociąg tam poleciał, krawczyk z Krakowa? — zapytał Krupiński.

— Oficerom w karman, ha, co? — zaśmiał się Wasyl Iwanowicz.

Gwoździukowi uderzyła krew do głowy, zacisnął pięść i przystąpił do Wasyla.

— No, no, winował — ja żartowałem, darujcie.

— A z nami tak nie żartuj, Wasyl Iwanowicz, skatyna — rzekł Krupiński.

Wasyl Iwanowicz zaśmiał się dobrodusznie.

Znieśli podoficera na dół. Zgromadzono się u stocza.

— Siedmdziesięciu dwóch ludzi padło, kapitan i porucznik — ktoś się ozwał.

— Chrystus, Jan Chrzciciel i siedmdziesięciu dwóch apostołów — zaśmiał się Wasyl Iwanowicz.

Gdy odniesiono rannych do polowego lazaretu, Gwoździuk, powróciwszy na miejsce, rzucił się wysilony na ziemię.

Bohater... Bohaterstwo... Walka — bój... On bohater... Skrzetuski, Podbipięta, Wołodyjowski, Kmicic...

Czarnecki, Kościuszko, Puławski, Poniatowski...

Walczy, on, Gwoździk, coraz dalej...
Posuwa się het, het, het...
Polska szwinia!... Gdzie leże?...
Obudził go sygnał.
Alarm!
Porwał się.
Pułkownik siedział na koniu; obok generał brygady. Komenda.
Ruszono.
Dokąd? Dlaczego? Poco?
To tylko było pewne, że dokądkolwiek szli mogli spotkać śmierć.
Posuwano się w nocy, forsownym marszem. Dzień zaczynało, a oni jeszcze szli.
— Psiakrew! Dokąd nas pędzą?! — mruknął Krupiński.
— Boh zna! Może na śniadanie? — szepnął Kurakin obok w szeregu.
Grunt pod nogami począł się stawać miękkim, błotnistym.
— Idziemy na kaczki — ozwał się jakiś myśliwy.
Szli. Buty grzęzły, poczęli zapadać po kostki. Rozpoczęły się krzewić szuwary i sitowia. Gwoździk spojrział nad siebie: trzy czaple kołysały się pod niebem.
Deszcz mżył.
— Zdołu woda, zgóry woda!...
Stać!
Staną!

Dzień już był: chmurny, drobnym deszczem siekający.

Dziesiąta, jedenasta, dwunasta — liczyli na zegarkach, którzy mieli; stano w błocie na czczo i w ciągłym pogotowiu.

— Co to jest? Poco my tu u starego diabła?! — mruczał Krupiński.

Wtem gdzieś zdaleka, przed sobą, usłyszano grad karabinów maszynowych.

— Ot poco? Poto! Brat! — odparł mu Wasyl Iwanowicz.

— To nasi... Z frontu...

Grad grzmiał. Nie widać było nic z sitowia nad głową.

Wtem kapral, co po rannych chodził, chwycił się za pierś pod gardłem, krew bluznęła mu z ust — bez jęku padł i chlupnął w moczarze.

— Ot, poco my! — ale Wasyl Iwanowicz nie skończył, gdy mu kula czapkę z głowy zerwała.

— Jej Bohu! Fryzjer!

Bęc, bęc — od czasu do czasu żołnierz się walił z jękiem między sitowie i szuwary.

— Kto strzela? Skąd?

Komenda. Kazana w błoto paść. Dwie godziny leżeli pod ogniem.

— Panie kapitanie, ludzie nie wytrzymają dłużej ognia i wody — ozwał się młody podporucznik do kapitana.

— Trudno... Muszą...

I istotnie ludzie już wytrzymać nie mogli: więcej wody, niż kul. Poczęli się dźwigać.

Wtem nieopodal krzyknął wściekły głos:

— Leżeć! Kto się podniesie — kula w łeb!

— Podpułkownik — szepnął kapitan do podporucznika.

— Czekajmy, aż front wyginie, albo się cofnie.

Kto poszedł oprócz naszej brygady?

— Zdaje mi się, że drugi pułk strzelców. Te kule, co tu padają, to przypadkowe. Nas nie widzi nikt.

— Ale zginąć od nich można — przypadkowo — mruknął dość głośno Krupiński.

— Co?! — odwrócił kapitan twarz czerwoną z gniewu. — Kto się odezwał?!

— Ja! — rzekł po chwili milczenia dość zuchwale Krupiński, podnosząc nieco głowę.

— Milczeć, bo kula w łeb!

Krupiński chciał coś odpowiedzieć, ale Kurakin trącił go łokciem w karabin.

Niewidoczny dla żołnierzy nieprzyjaciel raził coraz gęściej. Nagle porwał się z błota jakiś ogromny żołnierz i z krzykiem: nie będę dłużej leżał! — zaczął biec naprzód. Skakał przez żołnierzy i zwał się z rykiem. To któryś podoficer pchnął go zdołu w brzuch bagnetem.

Żołnierz rykiem napełnił powietrze i nie ustawał ryczeć. W Gwoździku zakrzepła krew. Żołnierze poczęli się w grozie poruszać. Żołnierz ryczał jak zwierzę. Nagle ktoś palnął podoficera w ciemną kolbę.

Gwoździkowi wydawało się, że ten dzień nie skończy się nigdy. Nigdy nic podobnego nie słyszał, ani sobie nie wyobrażał! Przekradanie się przez bagna pana Skrzetuskiego pod Zbarażem wydawało mu się igraszka, bo pan Skrzetuski był w ruchu, nikt do niego nie strzelał i wiedział, poco wyszedł i dokąd idzie. Przytem był sobie sam panem. Tu zaś był głód, zimno, wilgoć, deszcz, wróg strzelający, którego nie widać, i zajadłość straszna wobec śmierci.

Zdemoralizowanie ogarnęło Gwoździka z głodu, zimna i okropności położenia. Miał ochotę rzucić karabin. I poczęła się w nim budzić myśl: poco tu przyszedł? Poco rzucił Kraków i warsztat majstra Palonka? Poco dobrowolnie poszedł szukać wojny i jej strachów? Poco się tu wepchał?! Po jakiego djabła?! Naco?! Poco?!

Mieli rację towarzysze socjaliści, którzy radzili o tem, że wojska i wojen nie powinno być wcale i darli się w ujeżdżalni krakowskiej: hańba! — przy wspomnieniu służby wojskowej i podatków na wojsko.

Wawel, Zygmunt, Rynek krakowski, wieża ratuszowa, kamień Kościuszki na Rynku — wszystko to, wszystko to niech djabeł porwie! Gwoździk począł mdleć z wysiłku i osłabienia.

W sitowiu ukazali się strzelcy. Uciekali.

Z karabinami w rękach, rozgarniając sobą trzciny wodne, wielu z rękami na tyle głowy, jakby je od kul ścigających osłonić chcieli, poczęli się sypać kupą na leżący w błocie bataljon.

— Uciekajcie! Uciekajcie! — krzykali.

Z sitowia wydarł się zboku pułkownik, pieszo, z szablą w ręku.

— W nich! pal! — wrzasnął na piechotę, która w pomieszaniu poczęła się już podźwigać z błota.

Szablą wskazał na strzelców.

Ale piechotnicy nie strzelili. Ogarnął ich strach. Nawąta strzelców wpadła na nich, splątała się z nimi, krzycząc: ratuj się! uciekaj!

Piechotnicy jęli zrywać się, uciekać razem. Wielu z przestachu rzuciło karabiny. Uciekali jak sarny. Nagle poczęli tonąć. Jezioro padało w głębie.

— Jezus Marja! Tam wróg, tu woda! — wołali rozpaczliwie żołnierze. A już słyhać było wycia tonących.

W okropnem przerażeniu gwałt Gwoździk przed siebie. Czuł strach zupełnie niewypowiedziany, niepojęty, szalony i do szaleństwa podobny. Nadomiar ścigająca kula karabinowa uderzyła mu w kolbę karabinu i strzaskała ją na drzazgi. Tem większy jeszcze strach go ogarnął, że uczuł się bezbronny. Ale nie puścił karabina z nasadzonym bagnietem i rozłamywał nim sitowia. Ujrzał przed sobą ziemię. Chwała Bogu!

Potem uciekał wraz z innymi w pagórki, gdzie się zatrzymano bez tchu i niewiadomo dlaczego.

Okropna wrzawa armat i karabinów dawała się słyszeć z pola bitwy. Dowódcy usiłowali przywrócić żołnierzom przytomność, opamiętać ich. Gwoździk widział, jak wicher, przelatujące baterje arty-

lerji konnej. Konie i armaty zdawały się nie tykać ziemi. Czterdzieści armat sześciokonnych przeleciało mu przed oczyma. W szalonym galopie wpadli artylerzyści na wzgórek, zakrecono armaty, odprężniło konie i huk, od którego atmosfera zadrzała, rozległ się z dział czterdziestu. Ale niedługo granaty, szrapnele, kartacze zasypały artylerję. Gwoździk widział, jak u jednej z armat koła prosto rozprysnęły się w powietrze. Artylerzyści poczęli padać. Konie, z których posiadali oficerowie, podoficerowie i kaprale, wrywały się trzymającym je za uzdy żołnierzom; konie od armat, opodal stojące, również szalały. Wtem popędzono z niemi ku armatom. Co za straszny widok! Pociski nieprzyjacielskie lały się jak deszcz piorunów na artylerję. Konie poczęły wspinać się, padać trafione, wierząc i rzeć przeraźliwie.

Z koniem z rozdartemi wnętrzościami w parze przy dyszlu, wleczonym przez inne, przegnała na łeb na szyję pędząca na dół ze wzgórką armata. Artylerja nie utrzymała się na pozycji ani pięciu minut, uciekała.

— Co to jest?! Na Boga! Klęska?! — krzyknął niedaleko od Gwoździka stojący jego pułkownik.

Ale nie dozwolono długo Gwoździkowi być widzem widowiska. Zmieszanych, a opanowanych strzelców i piechotę rozsypano w tyraljerkę. Gwoździk ze strzaskanym, nieużytecznym karabinem dostał się znowu na linię bojową, na kukurydziane pole. Znowu strzelano do nich i znowu ginęli, nie

widząc nieprzyjaciela, ukrytego w zaroślach, do którego im strzelać kazano. Gwoździk z rozpaczą myślał o tem, aby padł obok niego który żołnierz i aby mógł pochwycić jego karabin. Leżał na ziemi, jak cel. Wszystko ludzkie zamarło w nim, owaładł go nie do zniesienia lęk; był jakby kot zawiązany w worku, psom rzucony.

Ogień z zarośli słabł, snadź w przeciagu jakich dziesięciu minut zmoгли niewidzialnego nieprzyjaciela, lecz lawa armat zalała ich. Nie wytrzymali.

— Nie tracić ducha! Nie tracić ducha! — krzyczał generał jakiś, którego Gwoździk nie znał. Ale w głosie jego czuć było, że sam nie wie, co krzyczy.

Zmiotli się z pola wtył i Gwoździk poznał, że dostali się w olbrzymią falę cofającego się wojska.

Potem rzucono ich nagle wbok, w stronę jeziora, już w okopy obozu, ponad druty kolczaste i wilcze doły. Tam im jeść dozwolono, co kto miał.

— Śliczny dzień! — mówił Krupiński. — Bijemy się od nocy do zmroku prawie i nieprzyjacielaśmy nie widzieli.

— Da, da... Nie tyle się bijemy, ile nas biją...

— Wódz winien, komenda. Poco nas w te błota naprzykład gnali? Leżeliśmy psiakrew jak żaby z ośm godzin na wodzie!... Mnie już febra trzęsie...

— Panie Krupiński, pan tam nie mruć dużo, bo na pana już i tak pan kapitan dobrze uwagę zwrócił — ozwał się kapral.

— A cóż to mnie niewola służyć? Ochotnik jestem! — odpowiedział Krupiński zuchwale.

— Ochotnik nie ochotnik, skoroś pan tu raz, toś pan taki żołnierz, jak i drugi. Nikt tu pana nie prosił.

— Phil — czmychnął obrażony Krupiński. — A no, to proszę, niech pan powie, panie kapral, pociemy w błocie leżeli?

— Był rozkaz!

— Racja fizyka! Kaśka butów nie ma!

Gwoździka znużenie brało. Za innymi jadał. Ale znużony był tak, że przychodziła nań obojętność. Zaczynał myśleć: niech się dzieje, co chce — wszystko jedno — — aby lec, spać... Bitwa nie bitwa — — byle mieć wypoczynek...

Siedząc na ziemi, z nowym karabinem, który mu ktoś dał po jakimś zmarłym rannym, walczył ze snem... Głowa opadała mu na piersi...

Naokoło niego był gwar, w uszy dolatywały mu słowa. Nieprzyjaciel parł przed sobą armję, posuwał się... Nastąpi szturm — mówiono.

Między żołnierzy wpadł jakiś oficer sztabowy konno i krzyknął: Żołnierze! Pamiętajcie! Los milionów ludzi w waszem ręku! Od was zależy życie lub śmierć! Jeśli dacie się pobić, przepadniemy!

— To nas lepiej prowadźcie! — ozwał się głośno Krupiński.

Ale oficer zwrócił konia i wypadł z okopu.

— Wódz naczelny w strachu — mruknął Krupiński.

Gwoździkowi przypomniał się Zagłoba: zginę ja i pchły moje...

Wtem rozkaz: baczność! żołnierzy pchnięto na wał.

A wraz potem rozpoczął się atak piechoty nieprzyjacielskiej na okopy.

Gwoździak leżał na brzuchu na wale i nie mierzając, strzelał przed siebie w zarośla, pagórki, przylaski, skąd do obozu strzelano.

Szturm odparto.

Naokoło Gwoździaka padali ranni i zabici. On dwa dni walcząc, tyle razy pod ogniem będąc, był zdrow i cały. Ufność, wiara wstąpiły mu w duszę.

— Daliśmy im pieprzu, ale wróć — mówił Krupiński.

— Niech ta! Psiakrew! Nieboję się! — odparł Gwoździak, stawiając się tem więcej wobec tego „pana z panów”, szlachcica, potomka żołnierzy...

Raz, drugi, trzeci, coraz zajadlejsi, coraz liczniejsi parli się napadający.

— Dobrze, że przynajmniej deszcz już nie leje — mruzczał między trzecim a czwartym atakiem Krupiński.

— Psiakrew! Ktoby rzekł! Geometrą panie jestem z zawodu, a chybiam — rozpoczął coś, gdy nowy grad kul posypał się na okopy.

— Z tego nic! Strzelajcie psubraty!

— Skatyna! Swołocz! Wot duraki! — ryczał Kurakin.

Ale kula gwizdnęła znów tak blisko koło jego ucha, że przypadł lewem licem do ziemi, klęcząc od „twoju mat” „fryzjerom”.

Gwoździak, Gwoździak — wołało coś w sumieniu Gwoździaka. — Mieczysławie Gwoździku, ty wiesz,

że ty walczysz o wielką rzecz! O świętą rzecz! O największą, najświętszą, najdroższą rzecz na świecie! O wolność walczysz, Gwoździak, o wolność!

Tam, tam, tam — — przypomnij sobie, pamiętaj, widziałeś, znasz... Gwoździak! Czeladniku krawiecki! Walcz, jak lew! Nie ustąp kroku! Bo ostanie ci tylko sznur, żebyś się powiesił!

I ty — i wszyscy!...

To jest „wielka rzecz!”...

Gwoździak, Gwoździak! Czeladniku krawiecki! Zali ty wiesz, że karabin twój świętym jest, lufa u niego święta, każda kula święta, każda rana, każda śmierć, którą zadasz, zgłoszą hymnu wolności! Zali ty wiesz?!

Zali ty wiesz, że twój karabin to „złoty róg”?! „Czapkę z głowy wicher zwał” — — —

„Bez tę wiechę z pawich piór” — — —

Gwoździak! Gwoździku walcz, jak lew! Bo za prawdę — — —

Atak przerwał myśl Gwoździkową. Ulewa kul zalała obóz, harczały one, gwizdały, grały w powietrzu koło uszu. Gwoździak widział z wału: coraz nowe, coraz nowe gromadziły się pułki nieprzyjacielskie. Walono w nie z armat, ale i one pod osłoną armat posuwały się naprzód. Gwoździak widział, jak bomby i granaty ryły bruzdy w zastępach nieprzyjacielskich. Ale one szły, szły i szły.

Coś upiornego było w tych pułkach. Szły, szły, szły i nie ubywało ich. Bruzdy zstępowały się, kule padały wściekle, ale bezsilne. Nie wstrzymywały pochodu.

Gwoździkowi się zdawało, że przeciwnicy idą wszyscy, ilu ich jest, że za temi pułkami pokażą się żony, dzieci, domy, stada...

— Da — wieluż ich tam jest?! — wrzeszczał Wasyl Iwanowicz. — Po morzeby zalalil...

Oni zaś szli i zapadli w teren obłąnaczy.

Mrok spływał.

W Gwoździku znów się odezwała dusza. Leciał on instynktem porwany, nieświadomą siłą pchnięty — tu dopiero, teraz, w drugim dniu bitwy, pod wieczór, w mroku zapadającym ujrzał jasno, wyraźnie, poco tu przyszedł. I wydało mu się, że skrzydła mu u ramion rosną... I ujrzał pana Longina Podbipięte, pod którego nogami „była kupa ciał drgających”...

I usłyszał bęben warczący i głos księdza Kamińskiego, „który w Chreptowie bywał”.

„Panie Pułkowniku Wołodyjowski!”...

W uniesieniu, w odurzeniu głowy nabijał, rzucał kolbę ku twarzy, pociągał cyngiel...

Kimżem jest?! Kimżem jest?! — huczało mu w uszach.

Wydało mu się, że coś olbrzymiego pakuje mu się w głowę, rozwidnia w niej, goreje. Czuł, jakby mądrość jakaś wstępowała w niego, mądrość bratnich stu milionów ludzi, mądrość, która od tysięcy lat na niezmiernej przestrzeni ziemi leży rozestana po niej, jak wilgoć ziemna...

— Ty, krawczyk, co ty masz taką minę strzelając, jakbyś się tabliczki mnożenia uczył? — ozwał

się doń w krótkiej przerwie osłabnięcia ataku Krupiński.

Walczono i walczone. Oblężonych było coraz mniej, oblegających coraz więcej. Zbliżano się. Już kompanje całe zaczęły wypadać z zarośli ku płotom drucianym z nożycami — przyjmowano je salwami i cofano. Odrzucano wstecz.

Wtem armaty skierowane w okopy jęły miażdżyć linje oblężonych. Panika zaczęła ogarniać żołnierzy. Chcieli się zsuwać z wałów, kryć — oficerowie z pistoletami w rękę powstrzymywali.

Gwoździkowi wydawało się, że wpadł w piekło. Wtem zobaczył, jak Krupiński z ziemi nie do wroga, lecz do stojącego w tej chwili tyłem przed nim, z pistoletem w rękę, własnego kapitana, z dzikim uśmiechem wykrzywioną twarzą: w czapkę — w mózg wypalił.

— Panie Krupiński! Na miłość Boską! Co pan zrobił?!

A Krupiński wrzasnął: masz psiakrew pistolet! — i rzuciwszy karabin z brzękiem zsuwać się z wału w dół począł.

Kapitan runął na twarz.

Oblężonym nadbiegły nowe bataliony z pomocą. Zdwojono opór, ale nie na długo. W wojska oblegające wstąpiła jakaś wściekłość. Zda się bez komendy wypadły naprzód. Parły się na kule, na płoty z kolcami, na wilcze doły. Gwoździk widział ciała zawisające w konwulsjach na drutach i wijące się, jak potworne robaki, na ostrych kołach w doły

pozaprawianych, w które atakujący wpadali przypadkiem, kulą strąceni, lub przez towarzyszy popchnięci. Byli to jacyś nieludzko waleczni żołnierze w hełmach stalowych. Już przetorowali drogę, trupami swemi moszcząc. Bataljony za nimi puściły się naprzód, do ataku na wały. Jedni strzelali w górę, na wały, aby osłabić ogień, skierowany na atakujących, drudzy szli z bagnietami na lufach.

W Gwoźdźniku ścisnęło się ze strachu serce.

Mimowoli obejrzał się na towarzyszków najbliższych — Krupińskiego nie było, Wasyl Iwanowicz Kurakin leżał z rozczapierzonemi rękami martwy. „Fryzjer” ogolił mu życie.

Gdy szturm po szturmie odparto, rozpoczęło się oblężenie.

Dzień po dniu, godzina po godzinie biegły do wszystkich centrów świata depeze: bronią się jeszcze. Nikt nie wierzył, że się obronią.

Cała połać ludności, jak była wielka, przestała istnieć dla siebie, żyć. Jak nad chorem dzieckiem, które walczy ze śmiercią, matka przerażona; tak nad okopem pochyliły się przerażone twarze od Bałtyku po Adrjatyk i Morze Czarne. Każda wieść o szturmie odpartym wywoływała wykrzyk radości, lecz wieść o nieuniknionej zdawało się klęsce pograżała serca w rozpacz.

Wzniesiono oczy na Boga i na Rzym.

Rzym milczał.

Czy lękano się je wyrzec, czy nie wiedzano co powiedzieć, czy obawiano się, że cokolwiek po-

wiedzianem było, ceny mieć nie będzie? Czy po raz setny i tysięczny stwierdzono, że się jest przede wszystkim wyspą z siebie i dla siebie pośród narodów? Że polityka czegoś tak wielkiego, jak religia, jest większą, niż wszystko, co nią nie jest, i że wszystko wobec niej jest przejściowe, znikome, a jako takie podporządkowane być może, powinno i musi?

Wszystkie gmachy rozgorączkowanej wyobraźni Doroty Koreckiej, kobiety bogatej, swobodnej umysłowo i pchanej w patriotycznym kierunku listami Toszczyńskiego, padły naraz. Toszczyński podtrzymywał w niej ambicję i szlachetne przymioty jej duszy. Wiedział on, że Polki są czasami kobietami zupełnie wyjątkowemi świata i z przykrością widział, że przeciwnie jak u innych narodów, bywają od polskich mężczyzn duchowo więcej warte. Wiedział on, że gdyby „koniec nosa Kleopatry był dłuższy, lub krótszy, świat wyglądałby inaczej” i że Korecka zechce oddać przysługi sprawie, którą uważała za obowiązek każdego Polaka, a która była wszystką jego sprawą. Z częściej z nią korespondencji widział, że egzaltacja jej rośnie i wzmagą się na wszystkich punktach. Nie umiając nazwać tego po imieniu, bo listy Koreckiej były tajemnicze, widział, że uczucia jej przedmiotowe i podmiotowe związały się w jedno, że zdobywając dla duszy, chce ona zdobyć dla serca, że kobieta i patriotka złąły się w niej w jedno nierozłącznie. Domyślał się prawdy: że Korecka kocha się w kimś, kto ją

samą uczynić szczęśliwą, dla sprawy polskiej wiele uczynić może. Nie pytał kto, bo naturalnie nie mógł, ale dyskretnie sycił w niej płomień.

Sam nie mógł nic — bez zdrowia i bez odpowiednich środków. W księżnie Koreckiej umieścił całą wolę swoją.

Gdy jak grom po gromie padały straszne wiadomości o przebiegu walki i ostatecznie zwała się na Toszczyńskiego głowę wiadomość o klęsce wojsk s'owiańskich, pchnął on natychmiast telegram do Rzymu: „Nikt nie powinien opuszczać rąk. Choć rzecz jest zachwiana, nie jest stracona. Klęska nie jest zgubą.”

Korecka miała u siebie kilka osób, gdy ta depesza nadeszła. Przeczytała ją pocichu, tupnęła nogą w dywan i rzekła z mocą: odebrałam od jednego z mych przyjaciół telegram, który wyraża to samo, co ja myślę: klęska nie jest zgubą! A sama uczuła przed sobą jakby drogę, aleję, której nie widziała dotychczas, na którą mogła teraz wejść i iść nią szybko i bezpośrednio ku temu, którego kochała. Ogarnęła ją gorączka i ujrzała jakoby dwie szale, na który postanowiła rzucić się cała i prze-ważyc leżący na drugiej stronie kufer złotych, misternie wyrzynanych kluczków, co otwierały różne drzwi do gmachu potęgi wyrozumowanej, zimnej i przecznej.

— — — — —
Nie było co czynić dla przyszłości, trzeba było ratować terażniejszość.

Naokoło leżała Europa zimna, obojętna i milcząca.

Wówczas Korecka zażądała protestu, protestu, któryby poruszył ludy.

— Krucjaty pani chcesz? — odpowiedział jej kardynał Murri z uśmiechem.

Korecka popatrzyła nań pytającymi oczyma.

Kardynał uśmiechając się ciągle mówił:

— Czy mam się na osła, jak Piotr z Amiens? Jeździć po świecie i na niewiernych zwoływać?

Patrzył na Korecką stojącą przed nim z rozdeptanymi nozdrzami z patriotycznego oburzenia na wrogów, podobną do rasowego konia z tabunu. W oczach jego poczęło świtać dziwne światło, nie do odgadnienia, nie do przejrzenia w treści. Korecka instynktem poczuła w sobie w tej chwili olbrzymią moc, olbrzymią moc kobiety — ale czuła, że upada na nią jakby olbrzymia sieć, jakaś moc z oczu tego człowieka. Wytężyła wszystkie zmysły, aby ją odgadnąć i nie pojęła nic. Stał przed nią ogromny Sfinks, z tajemnicą ważącą się we wspaniałych oczach. Korecka miała ochotę krzyknąć: co myślisz?! powiedz! — ale nie śmiała. I poczęła cała tonąć w swojej własnej sile kobiecej, jako ów ptak, który piękne z natury pióra swoje rozacza i ukazuje pod słońce. Czuła się mimowoli zachwycającą i mimowoli przeżyła struny swej urody. A zarazem ogarnął ją lęk, lęk wewnętrzny i instynktowny i lęk religijny.

— Eminencjo — ozwała się półszepem.

— Co?

Dwie siły, dwie moce dwojga jestestw wzdęły się i wspięły naprzeciw siebie jak dwa węże. Żywa wyobraźnia Koreckiej widziała naprzeciw swego stubarwnego o rubinowych oczach słonecznego symbolu drugi symbol ciemny, większy, świecący wzdłuż grzbietu ostrą diamentową łuska. Węże splątały się, zwily z sobą, skręt zaszedł w skręt, przegub w przegub — ciemny kształt owinął sobą Koreckiej kształt stubarwny i głowa jego o żrenicach z czarnych brylantów zagórowała ponad jej rubinami.

— Dusi mnie! — krzyknęła w duszy swojej.

Ale w tej śmierci była rozkosz niewysłowionej boleści.

* * *

Żelazna ręka wroga padła wywołując rozpacz, cierpienie i podłość. Niewola rozrzuciła swoje pęta i poczęła ciągnąć ku sobie sznury. Natychmiast z zadławionej gardzieli społeczeństwa poczęły się wydobywać krzyki nikczemności. Co było nędznego jęło się wydobywać nawierzch, jak się nawierzch wydobywa kwas w beczce z kapustą, gdy ją chłop bosemi stopami ubija, nim ciężkim kamieniem przyłoży.

Szafański, słysząc o partyzantce, która coraz szersze i głębsze zatacza kręgi, zacierał ręce i myślał — psia ci panie mać! — przedostać się przez wody i góry raz jeszcze chwycić w rękę karabin, i jak Byron — panie bdiu — zginąć w walce za wolność...

Zmagano się. Dziesiątkowane szeregi zapelniały się na nowo. Ziemia gorzała.

Wówczas to pisała do Toszczyńskiego Korecka:

„Palę się cała! Drogi przyjacielu! Jestem na drodze ziszczenia, do czego mnie popychałeś — używam do wielkich i świętych rzeczy danych, które mi Bóg dał — mego tytułu, mego stanowiska i majątku.

Czuję, że i ja siłami memi ciągnę maszynę, która z grzmotem piorunu wjedzie na arenę świata.

Najpotężniejsze koło maszyny jest w moich rękach. Ciągnę je. Zapalam olbrzymiego ducha. Sama lampka niewielka, rozplomieniam od mego ognia pochodnię kolosalną, która lunę na niebo świata rzuci. Myśl mnie olśniewa. Boże! Przez słabe i lichy narzędzia sprawujesz wielkie sprawy, sprowadzasz święte rzeczy.

Wszystko, wszystko uczynię...”

Korecka kupowała i zyskiwała sama. Równocześnie wielka idea, która ją przepelniała i namiętność, która ją ogarnęła, stopiły się w ogniu jej duszy wspólnie, jak dwa metale w jeden tygiel rzucone.

Był to cichy skwarny dzień, tak gorący, że kwiaty w oczach wędły. W Zatoce Neapolitańskiej szumiało szafirowe morze. Wówczas w ustronnym, tajemnym pokoju, uniesiona szafem myśli i krwi, Korecka krzyknęła: przysięgasz?! — a odpowiedź: „przysięgam” — wypowiedziały szeptem stłumionym gorejące usta w jej białą pierś.

O jakże śmiał się ten, który je wyrzekł, powróciwszy do swego rzymskiego pałacu! Jakże śmiał się z naiwności, głupoty, dzieciństwa tej biednej, małej Polki — o głupia, o zabawna, o sancta simplicitas! Ale cyt! „Krucjata” musi nastąpić — — paść mają słowa, które „wstrząsną światem”... Długo, długo trzymać trzeba ten klejnot, tego swojskiego ptaka w rękach, który sam wleciał do nich...

* * *

Korecka tonęła w szczęściu. Jakże to, co czyniła, podnosiła i uszlachetniała myślą.

Miała uczucie, jakby poczyniała rzecz świętą i wielką, jakby począć miała owo dziecko święte, o którym ksiądz Marek Słowackiego mówi do regimentarza konfederacji, Krasieńskiego, iż przed niem „stałby u podwoi jak żebrak przed królem stoi”... Korecka czuła się uświęconą grzechem swoim — kochała rozkosz nieznaną dotąd, a dla samej rozkoszy nie byłaby się na grzech ważyła — ona więcej niż duszę swoją kochała marzenie swoje, swój zły sen o Ojczyźnie.

Upojenie, entuzjazm ją ogarnęły. Żyła jakby jakimś nowem życiem, w podnieceniu nerwów, w gorączce serca i umysłu. Nie widziała niemożliwości dla siebie, nie pojmowała rzeczy, przed którą się cofnęła, nie widziała, aby mogła rzecz taka istnieć.

Bohaterstwo, heroizm, rozkochały ją w sobie.

Odrzuciła wszelkie książki i cofnęła się wyłącznie do poezji bohaterskiej.

Grała na fortepianie i śpiewała stare ludowe pieśni irlandzkie.

Życiowe kwestje, które uprzednio pochłaniały jej tak wiele czasu, interesowały ją tak żywo, przestały dla niej istnieć.

Całe to życie, jakie prowadziła dotychczas opadło, od niej, jak znoszona skóra zsuwasię z węza na wiosnę.

W tuman namiętności, w kurzawę nadzwyczajnych dążności weszła.

W dziwnem zespoleniu kobieca jej tkliwość, mieszała się z ideą heroizmu, który ją ponosił, jak koń bojowy. Czuła się pełną różnolitych płomieni, lecz czuła, że żyje.

Ale zarazem czuła, że dzieje się z nią coś szalonego. Choć kochała swoje czyny obecne, napadał ją niepokój i chciałaby, aby wszystko koło niej szalało. Jeśli ona uderzała z łoskotem w drzewo swego życia, niechby cały las grzmiał od łoskotu; niechby wszyscy szaleli i niechby się działo naokoło coś szalonego. I coś wielkiego.

Wielkości łaknęła, potrzebowała dusza Koreckiej. Łaknęła jej dla samej idei wielkich rzeczy i aby sama siebie utopić w morzu wielkością rozhukanem mogła.

Szał, w którym żyła, wywoływał w niej potrzebę szalów, jak jeden sport wywołuje potrzebę drugiego, albo jak jedna namiętność rodzi drugą.

Chciała wstrząsających, nieznanych, awanturniczych czynów. Chciałaby była rzucić na szalę wszystkie klejnoty, majątek, egzystencję — zawirować siebie samą i wszystko koło siebie. Chciałaby nowych ludzi, Don Kichotów, rycerzy, minstrelów, ludzi z ognia i z płomieniem. Romantyzm ją przenikał.

Chciała ryzyka. Wtem pewnego dnia przed południem, lokaj zameldował jej Szafrąńskiego z jakimś młodym panem. Kazała prosić.

Szafrąński wszedł, krótki i butny, idąc naprzód.

— Mam honor się przypomnieć — rzekł — malowałem pokoje, Szafrąński, szlachcic i republikanin. —

— Pamiętam — odpowiedziała Korecka — miło mi pana widzieć. —

Szafrąński szasnął się i rekomendował towarzysza.

— Pan Bolesław Łanowski, mój przyjaciel, obywatelko księżno.

Korecka uśmiechnęła się na tę nową maniery Szafrąńskiego i poprosiła usiąść obu panów.

— Księżno obywatelko, panie dziu, nie czas na komplementy — zaczął z punktu Szafrąński. — Świat się pali i my na nim.

Pan Bolesław Łanowski, panie bdiu, którego miałem, panie, honor zaprezentować, przyszedł tu za moją namową. Pozwolisz sobie księżno obywatelko powiedzieć, że to wielki człowiek.

Korecka grzecznie skłoniła głowę.

— On robi, panie dziu, rzecz, o jakiej wieki nie słyszały, stulecia, panie, nie słyszały, o której

wieki mówić będą i która się stanie legendą świata, o ile ślepa siła, ananke, panie dziu, tę podłą budowę, światem zwaną, długo jeszcze trzymać w kupie, panie dziu, zechce.

— Wynalazek, chodzi o naciągnięcie na pieniądze — pomyślała Korecka, nie znajdując jednak na twarzy Łanowskiego żadnych cech „wynalazcy”.

— Cóż takiego, jeśli wolno zapytać?

Ale nim Łanowski usta otworzył, Szafrąński mleć począł:

— Wielka, panie, rzecz, na którą, panie dziu, potrzeba pieniędzy.

— Aha — rzekła chłodno Korecka, myśląc, że jednak nie omyliła się w przypuszczeniu.

Szafrąński chciał dalej mówić, lecz Łanowski podniósł dłoń ku niemu z prośbą dosyć zresztą stanowczą o milczenie i ozwał się:

— Proszę nie myśleć, że przychodzę tu zebrać o jakieś pięć, czy dziesięć tysięcy franków na skonstruowanie modelu nowego aeroplanu, czy elektroskopu; potrzeba mi dwóch milionów franków.

— Dwóch milionów?! — wykrzyknęła Korecka zdziwiona.

— Tak. To, co ja zamierzam, nie jest żadnym odkryciem, czy wynalazkiem; idzie o rzecz większej wagi, wyłom.

— Chcesz pan rozłamać Alpy, czy Pireneje? — zażartowała Korecka.

— W dziejach świata, księżno, nie w dziejach

handlu i przemysłu — odparł Łanowski niezmiśnany z akcentem.

— Fanatyk jakiś — pomyślała Korecka, patrząc na pełną energji i woli twarz Łanowskiego — ale zdaje mi się nie szarlatan, ani oszust.

Łanowski mówił:

— Szukam pieniędzy.

Korecką zabawiło to wyznanie, uśmiechnęła się znowu i przerwała:

— W dziejach handlu i przemysłu bez pieniędzy nie da się nic zrobić, ale w dziejach świata robiono już bez nich wyłomy być może, że nie większe niż będzie pański, ale w każdym razie dosyć znaczne.

— Pani—rzekł żywo Łanowski—zostawmy rozmowę. Moja sprawa nie jest błagą. Tu chodzi o rzecz kolosalną. Czy chce i może nam pani dopomóc?

— Bo ja, panie dziu — przerwał Szafrński — zapłonąłem do myśli obywatela Łanowskiego ogniem, panie bdiu, pierwszej młodości i trzy dni i trzy noce myślałem, panie dziu, z rozpaczą, że brak monety, monety! panie dziu, może stanąć na zawadzie! Aż, panie mociu, przysły mi na myśl bogate salony księżny obywatelki i stąd, moci dziu, oglądasz nas u siebie, księżno obywatelko, a to wielki dzień, wielki dzień, corpo di Bacco, kolega Łanowski jest genjuszem, il genio!

— Tu rzecz o Polskę idzie—ozwał się Łanowski.

— O Polskę?

— To, co zamierzam, jeśli ma przynieść ko-

rzyć światu, to przedewszystkiem ma przynieść korzyść Polsce! I nie mieć pieniędzy! Nie móc ich nigdzie znaleźć! Bo możebym dostał, ale boję się zdradzić tajemnicę moją i tych, którym mogłem zaufać, a którzy mi pomagać będą. W łeb sobie palnąć!

Łanowski wyglądał tragicznie; szczerą rozpacz wymalowała mu się na twarzy.

— Czemże ja mogłabym zasłużyć na zaufanie panów? — zapytała zdziwiona Korecka.

— Jestem, panie dziu, znawcą ludzi, psychologiem, chiromantą, odgadywaczem myśli — oświadczył Szafrński.—Malując pokoje obywatelki obserwowałem ją moci dziu, i nie jest mi nic tajemnym w temperamentcie księżny obywatelki. Wiedziałem dokąd idę i rzekłem obywatelowi koledze Łanowskiemu psiakrew!

— Takem rzekł — jedna jest osoba, która nam może dopomóc. Pójdź ze mną, bo nie było jeszcze znowcy, któryby nie miał swego chrzciciela.

— Proszę więc, mówcie panowie — rzekła Korecka — niech poznam tajemnicę, jeśli poznać ją mogę.

— O za pozwoleniem! — wpadł Szaf a iski.

— Jakże więc? Mam dać pieniądze, nie wiedząc naco daję? — roześmiała się Korecka.

— Ja ręczę! — rzekł Szafrński kładąc płaską rękę na piersiach. — Żołnierz ze wszystkich pól bitew, gdzie się bito o wolność, panie bdiu! O wolność, obywatelko księżno, o wolność świat! I gdy-

by stary Szafrąński żył tysiąc lat, tysiąc lat, moci dziu, walczyłby był o wolność świata, jak honor kocham, obywatelko księżno! A słowo takiego mężczyny jest słowem!

Tu Szafrąński położył płaską dłoń na stole.

— Ja rzecz znam! Nie było jeszcze wznioślej-szego celu! Stąd rozpocząć się ma nowa epoka świata! Nowe życie, moci dziu, nowy duch i forma nowa!!

Szafrąński podniósł obie ręce do góry nazew-nątrz, łokciami od brzucha i rozcapierzył dziesięć palców opodal rosochatej twarzy. Imię obywatela Łanowskiego błogosławić będą miljarde miljarde ludzi, panie dziu, psia ci mać! — dokończył w na-tchnieniu.

— Pani — rzekł Łanowski — jeśli możesz mi do-pomóc, zaufaj mi. Na to, czego ty sama krajowi i ludzkości najlepszego życzyć powinnaś, przysię-gam ci, iż dzieło, którego chcę dokonać, święte jest, jak miłość matki do dziecka!

— W którym to uczuciu niema zmayı, corpo di Bacco! — podparł Szafrąński.

Korecką, która sama żyła egzaltacją i upojeniem, ovladało pewne wzruszenie.

— Panowie — powiedziała — dajmy na to że wierzę wam i że chciałabym wam dopomóc, nie pytając naco potrzebujecie aż tyle pieniędzy; nie wątpię, że na rzecz godziwą i szlachetną. Lecz pie-niędzy tych nie mam. Mój mąż jest istotnie niez-miernie bogaty. Cukrownie nasze i odkryte świeżo

w naszych dobrach kopalnie nafty dają nam obec-nie więcej dochodu rocznego, niż to, co panowie żądacie, ale ja sama... — —

— Za pozwoleniem — przerwał Łanowski — czy gdyby chodziło o jaką świętą dla pani ideę, za-wahałaby się pani dlatego sfalszować na wekslu podpis swego męża?

Korecka zaskoczona niezwykle popatrzyła na Łanowskiego niespokojnemi oczyma.

— Nie myślałam o tem nigdy — odpowiedziała grzecznie.

— Męża pani znamy z opinii — rzekł Łanowski podkreślając zgłoskę my — czy mogę mówić?

— Możesz pan.

— Mąż pani jest człowiekiem bogatym, na wszystko obojętnym i najzupełniej nieczynnym. Pa-sożyt. Marnuje swe miljony bez niczyjego pożytku, lub też dusi je w angielskim banku. Idzie o urato-wanie ziemi polskiej naprzykład — czy nie byłoby wprost pani obowiązkiem nawet ukraść mu pie-niądze, aby tę ziemię ratować?

Korecka zażenowała się.

— Lub gdyby w ręku twojem leżało przeku-pienie jakiegoś kata dzieci polskich, lub dygnitarza, od którego zależy zmiana kursu polityki antypol-skiej; czy wahałabyś się, księżno, okraść swego męża w tym celu, lub też wszechmocny jego pod-pis sfalszować dla banku?

Korecka milczała drżąc nieco mimowoli.

— Na Boga, w którego pani wierzysz, nie uczy-

niabyś pani tego? wahasz się?! — krzyknął prawie Łanowski.

Korecka miała ochotę zawołać: nie masz pan prawa pytać mnie o takie rzeczy! — ale w głosie Łanowskiego było jakieś prawo. Korecka rozpoznała je: było to prawo fanatyzmu, było prawo pytania u człowieka, który sam dla siebie dawno kwestję rozstrzygnął, było to prawo żądania heroizmu od żołnierzy u wodza, który sam szedł na przód i walczył. Korecką oblało wewnętrzne gorąco; czuła, że ją Łanowski przygważdża wzrokiem do podłogi. Porwała się w sobie i wykrzyknęła:

— Uczyniłabym, choć nie żyłabym potem ani minuty dłużej!

Łanowski popatrzył na nią z politowaniem.

— Romantyzm. Powinnaś pani potem żyć, nie, aby swoje dzieło widzieć, to zbyt niskie i małe, ale aby czekać sposobności na drugi, trzeci i czwarty czyn podobny. A zatem?...

— Jednak ani okraść, ani sfałszować podpisu mego męża nie mogę — odpowiedziała Korecka odzyskując spokój.

— Lecz czy ufasz, pani, że dzieło, które ja zamierzam, jest wielkie, święte, Polsce i światu pożyteczne? Konieczne?

Łanowski patrzył śmiało, otwarcie i pytająco, Szafrąński zaś wrzasnął:

— Na moje siedmdziesiąt z górą lat, przysięgam ci, obywatelko Korecka, że zamiar obywatela Łanowskiego jest zbawieniem świata!

— Wierzę wam, że chcecie dobrze — rzekła Korecka — choć lękam się, że jesteście szaleni.

— A więc, pani — wybuchnął Łanowski z goryczą — jesteście szaleni! Bo chcemy zacząć dzieło wybawienia świata! Bo chcemy zbawić świat! Słuchajże pani. Zawiązałem tu towarzystwo, w którym spotkałabyś pani nawet swoich prywatnych znajomych, do którego należą robotnicy i ksiądzeta, jak ty, pani.

— Wolni mularze? Czy czarna ręka?

— To tajemnica; ani jedno, ani drugie.

— Pan jesteś prezesem?

— Ja — rzekł z dumą Łanowski.

W Koreckiej poczęła się rozgrzewać krew długą rozmową. Bawiła i rozdrażniała ją sytuacją. Kazała podać koniak i stare wino francuskie. Zaczęła pić. Łanowski fulminował ideami. Burzył porządek starożytności.

Po drugim, czy trzecim kielichu dobrego burgundu, Szafrąński zanucił:

Katarzyno, w co uderzasz rydlem?

Jest li to skarb, czy kochanka trup? i t. d. — przeskadzając mu.

Po czwartym zaś zaintonował:

Precz, stary świecie, z drogi zejź!

Chcemy usiąść na wieżach przeznaczeń... i t. d.

Korecka piła. Piła, aby spełnić to, czego od niej żądał Łanowski. Piła, aby zagłuszyć w sobie wszelki rozsądek, wszelki wstręt jej coraz więcej „zdrowy sens”. Śmiała się w sobie z siebie i piła, aby

nie odmówić nieznanym szaleńcom tak ogromnej sumy.

Świat szalał — wojną, rewolucją. Wszystko stało się szalone. Ona szalała miłością i jej potwornym kształtem. Ci dwaj ludzie przyszli jak szaleni. Jeden w wytartym surducie, nędzarsz, drugi jakiś awanturnik, zapaleniec, nihilista dobrze ubrany. Idea szału ogarnęła ją. Chciała szaleć. To, co już czyni, jest bezprzykładne. Malarz pokojowy — obcy elegant... To wino, ten koniak... Z kimże pije, ona, kochanka... z malarzem pokojowym, „żołnierzem pół wolności”, i jakimś szlachetką żądającym od niej pieniędzy... I nagle, stawiając mocno kieliszek na stole, rzekła: dobrze więc, będziecie mieli!

Pomysł tak kolosalnego hazardu rozogniał ją, jak żar.

Naówczas Szafranski ryknął głośno:

— Hurra! I wiwat jest!

Pułk piąty szwoleżerów do bronii!...

— Będziecie pieniądze mieli — mówiła płomieniąc Korecka — choćby dlatego, że jestem ciekawa, co pan chcesz dokonać, choćby dlatego, aby stało się coś szalonego, choćby dlatego, abym grzmotnęła taką sumą o stół! Daję wam słowo!

— Do takich należy świat! — wtrącił z zamachem Szafranski.

— Dostanę je łatwo — mówiła szybko Korecka. W świecie, w którym ja się tu obracam, są ludzie, dla których dwa miliony franków są drobnostką.

Dla mnie zaś też nic nie będzie ograniczyć moje wydatki różne i w przeciągu jakich pięciu lat dług ten zwrócić. Nie pytam panów nawet naco chcecie, byle to było coś wielkiego, coś olbrzymiego, coś nowego i szalonego! Niech szaleje świat!

Korecka czuła, jaką tym wykrzykiem czyni sobie ulgę, jak wlewa balsam w otwartą ranę tego niepokoju, który tkwił głęboko, w samym rdzeniu jej jestestwa; jak wywołuje to, czego szukała, czego pragnęła, w czemby utonęła, utonąć mogła.

— Za tydzień będziesz pan miał pieniądze! — dokończyła do Łanowskiego.

Ale odpowiedź Łanowskiego zgłuszył Szafranski, który ryczał:

W mojem oku tkwi ździebełko słomy —
halloli, hallola, halloli!

gdy mnie spotkasz, będę niewidomy —
halloli, hallola, halloli

ha! ha!... i t. d. —

Dwaj lokaje wrzuszali za drzwiami ramionami.

— Przyjdźcie, panowie, za tydzień, wręczę wam dwa miliony franków w papierach. Jeśli będę miała wcześniej, dam znać do pana Szafranskiego. Tylko zróbcie coś wielkiego, coś godnego tego, że nie wiedząc naco i nie znając was, daję je wam!

Wino zamraczało ją.

— Może księżna być pewną, — wieki mówić będą. Więcej niż o zburzeniu Babilonu i Bastylji, najeździe germanów na Rzym i Hiszpanów na Amerykę! Ziemia ruszy z posad!! Ja ją pchnę — a za

tem pójdzie dalej!! — odrzekł Łanowski, który miał głowę mocną i zachował zupełną trzeźwość umysłu.

Szafrański wytoczył się z drzwi, rozepchnął lokai i splotywał ze schodów, drąc się na całe gardło:

O cudny maju, miesiącu słowików,

usłysz mnie Święta Agnieszko z

Cormonsu!

Korecka, po ochłonięciu z podniecenia wywołanego winem, na myśl o przyrzeczeniu, danem Łanowskiemu i Szafrańskiemu, ogarnął niepokój, ale odegnała go od siebie i po pierwszym wrażeniu była rada i wesoła. Odkąd kochała i była szczęśliwa, wszystko wydawało jej się łatwe i możliwe i uważała, że prześlizgiwała się obecnie po przedmiotach, nad którymi byłaby się dawniej zastanawiała i namyślała i na któreby się jej było zdecydować trudno, lub na któreby się była wogóle nie mogła zdecydować. Ci dwaj ludzie nie zawiodą jej. Widać po nich było, że zadygoce coś pod ich rękami, stanie się coś, od czego krew zagra, świat zabrzmi. W dodatku wyobrazenie sobie miny księcia Koreckiego, gdy do niego wieść o pożyczce dojdzie, rozśmieszyło ją tak, że parsknęła śmiechem na głos. Ten się dopiero zadziwi i zgorszy! W tej chwili każe zatelegrafować do niej swemu sekretarzowi, że nic o tem nie chce wiedzieć. „Książę pan kazał oświadczyć księżnie pani, że nic nie chce wiedzieć o uczynionej przez nią pożyczce” — na co mu ona odtelegrafuje: „niech pan Strzałkowski powie księ-

ciu, że może nic nie wiedzieć o uczynionej przez mnie pożyczce”.

Śmiała się. Śmiała się z męża, z rodziny, z krewnych, śmiała się na myśl, co powie on, ten jedyny, którego kochała, o którego dbała, wobec którego czuła się pyłem małym i pyłem małym chciała czuć. Jakże on się będzie śmiał z tego szaleństwa, z tego dziecinnego głupstwa pożyczania i rzucenia dwom nieznanym ludziom, malarzowi pokojowemu i jakimś imci, dwu milionów franków! Jakże się będzie śmiał, gdy wróci z długiej podróży — — on upragniony, umiłowany, którego potężne ramiona podobne są do konarów dębu, gdy lekki wiatr kołyszą na gałęziach i usypiają go na liściach swoich..

* * *

Patrzył na jej głowę i poił się widokiem. On, plebejusz, on, który młodym chłopcem śmierzdzące capy pasał i śmierzdzącym kozłim serem się żywił, on to w pałacu swoim wytworną, piękną głowę wielkiej arystokratki w dłoniach trzymał, bezwolną, bezbroną, oddaną...

Jakże słaba, czuła, jakże małą była ta kobieta w jego rękach...

Co ją w nie rzuciło — nie badał. Miłość, czy tylko sama namiętność, lub było może co więcej za ogrodem kwiatów, który mu otwarła?! Mniejsza o to. Wyglądała, jak dziecko.

Nieznane mu prawie uczucie, pewna rzewność,

pewne wzruszenie nawet serdeczne przyjęły jego duszę.

Pochylił się nad jej twarzą.

— Tak dziwnie na mnie patrzysz — jak na dziecko — rzekła.

— Jak na dziecko — powtórzył.

— Moim jesteś?

— Tak, twoim.

— I wszystko, co mojem jest, twojem będzie?

— Tak.

Wówczas, wśród oderwania się zmysłów od życia, poczęły się w jej głowie snuć wizje — wizje piękne i ogromne, ponieważ wierzyła w tego człowieka, w jego moc i potęgę.

Pogładnęła w czarne płomienne oczy i rzekła:

— Myśli nasze łączą się...

On zaś myślał. Cóż jest celem najwyższym mężczyzny? Zali posiadanie kobiety, zali posiadanie mocy i władzy? Eros li jest najwyższym bogiem świata, czy Nike, lecąca z berłem w wian owitem w rękę? Jest li miłość nagrodą szczęściem, dopełnieniem, zdobyczą życia, czy też jego najwyższem wszystkim? Zdobywa się sławę, by zdobyć miłość, czy też miłość nagradza sławę pokorna i zwalczona?

Szafrański chodził dużymi krokami po swojej mansardzie, przystawając od czasu do czasu przed wizerunkiem na ścianie, aż nareszcie zatrzymał się i powiedział?

— He, co? Dziełko się zbliża?

Co?

Dziełko? Co?

Albowiem głód, bieda, nędza, ucisk, uciemienie, krzywda, niewola, niedola, przemoc, zdeptanie praw, dzikie bestje, tygrysy, lamparty, żbiki, w baraniej skórze wilki i osły z wilczymi zębami, zbyt długo już rządzą światem. Albowiem przyszliśmy, zapowiadali, Bóg wie cośmy zapowiedzieli, tylko nie ze wszystkim się udało.

Albowiem tam, w niebie jest niebiesko, ale tu na ziemi są łyzy, jest nieszczęście i krew.

Albowiem ostoja jest, jest pol tyka i politykowanie, jest dyplomacja i dyplomatyżowanie, jest egoizm, sobkostwo, karierowiczostwo, jest zaparcie się słowa, jest większa miłość siebie, niż świętych rzeczy, jest nie służba, ale panowanie, nie miłość, ale łakomstwo, nie duch, ale obżarstwo, nie żądza poświęcenia, ale święcone po rezurekcji.

To jest.

A gdzie to jest napisane:

Jesus est mort à la croix, eslevé au dessus de tout le monde, ayant sous ses pieds tout, et sa sainte Mere mesme.

J'apprends de là que mon coeur doit estre au dessus de toutes les choses de la terre, et que par cet eslevation d'esprit, qui n'est pas orgueilleux, mais celeste, je dois regarder comme au dessous de moy tout ce qu'elle a de plus grand et de plus aimable, parce que, comme je ne me dois glori-

fier qu'en la croix de mon Sauveur, je ne dois
aussy rien estimer qu'elle.

Jakiś siedmnastowieczny Pascalik, czy co?

Stary Szafrąński ma pamięć, jak Byron.

Ale przyszedł proroczek nowoczesny, przyszedł
Luterek drugi, tylko gorszy.

Z fundamencików wywali, od węgla zacznie.

Oto już księżna polska dała mu w ręce dwa
miljony franków, szalony babsztyl!

Dzielko się rozpoczyna.

Dzielko większe, niż oratorjum Anakleta, bazy-
lika Konstancyjna, robota Bramantego, Rafaela i Mi-
chała Anioła, Juliana Drugiego, Pawła Trzeciego,
Urbana Ósmego i wszystkich innych Sangallów. Dziel-
ko większe. Jest tu Polaczek młody, przystojny
i elegancki, szlachcic, on tego dzielka dokona. Za-
czekajmy! Pieniądze już są.

Szkoda, szkoda, szkoda wielka, nieoszacowana
będzie.

Ale comme je ne me dois glorifier qu'en la croix
de mon Sauveur, je ne dois aussy rien estimer
qu'elle. To trudno. Padły Babilon i Niniwa, choć
także piękne były, Sodomę i Gomorrhę Bóg ogniem
i siarką zniszczył. Za przykładem bogów, hallohiho!
Za przykładem bogów!

Katarzyno! W co uderzasz rydlem?

Jest li to głaz, czy kochanka grób?

Puszczaj na wodę kwiaty, puszczaj na wodę

kwiaty,

jeśli wzięłaś z nim ślub...

Katarzyno! nic ci już po kwiatach,

jeżeli w grobie leży on — —

wejdz za nim do trumny, połóż się obok —

zimno — —

oh! zimno — — mróz obu łon...

Stary Szafrąński śpiewa, jak Ofelja...

Jest proroczek. Bolcio Łanowski. Młody, przy-
stojny, elegancki szlachcic z Polonji, pieniądze już
ma... za godzinę zgromadzenie.

Adieu! Padam do nóżek! Dlaczegoż niema u dis-
cypulków tyle zapachu do poświęcenia, ile do świę-
conego po rezurekcji? Upadam do nóg! Sługa!

Szafrąński skłonił się przed wizerunkiem i wy-
szedł z mansardy.

Szedł on na Via Giuttia niedaleko Tybru, gdzie
w wielkiej sali, najętej na klub fechtunkowy, zgro-
madzali się wyznawcy Łanowskiego.

Gdy Szafrąński wszedł do sali, rzekł sakramen-
talne powitanie:

— Niech będzie pochwalony płomień i działal-
ność jego!

— Na wieki wieków. Amen! — odpowiedziano
mu chórem.

Na podniesieniu, na rodzaju katedry uniwersy-
teckiej, siedział Łanowski, obok, po dwu stronach
przy stołach sekretarze główni.

Zgromadzeni stali częścią, częścią siedzieli na
krzesłach. Wszystkie niemal rasy i wszystkie ro-

dzaje stanów miały tam swoich przedstawicieli
Rozmawiano jak na wieży Babel między sobą.

Na ścianach wisiały floretty, szpady, rapiery, maski, plastrony, rękawice; sześciu panów ubranych było jak do fechtunku — trzy pary z bronią w rękę — na wypadek policji.

Gdy policzono liczbę trzydziestu sześciu członków, z których składał się związek płomienia, Łanowski zadzwonił, powstał i rzekł w języku francuskim głosem podniesionym, wzruszony cały do głębi istoty swojej:

— Związkowi! Nadszedł dzień, kiedy możemy rozpocząć działać! Dzięki tu obecnemu związkowemu, rodakowi memu, Polakowi, Piotrowi Szafrzańskiemu, staliśmy się panami sumy, która ułatwi nam czyn. Czy jesteście gotowi? Na wszystko?

— Na wszystko!

— A więc wstrząśnijmy światem!

.....

W pełni księżyca stał Bolesław Łanowski na przeciw katedry Świętego Piotra.

Pusto było dokoła, zaś światło miesięczne rzeźbiło cały gmach srebrnobłękitnym dźwiękiem blasku, iż zdawał się jak wizja jakaś olbrzymia, potężna nad miarę ludzką i nad miarę ludzką wspaniała, dzieło nie przez człowieka dokonane, ale płód boskiego marzenia i dzieło boga-tytana.

Alpy Berneńskie, które się niegdyś w noc przejeżdżającemu mimo Łanowskiemu pod księżycem

w niebie utopionemi wierchami lodowemi okazały, nie wydały mu się ani większe, ani wspanialsze.

Ecce Deus — pomyślał — oto Bóg...

Na kolumnadę Berniniego dokoła placu przed katedrą i na jej front kolosalny padała światłość mroźna, spokojna, jednostajna i tajemna. Osnuwał się czemś dziwnem, nieprzeniknionem kościół, mgłą jasności, w której widniał, a poznać go było niepodobna. Stał oto na placu przed człowiekiem frontem szerokim ku jego twarzy i niczego nie ukrywał. Stał w blasku, a jednak wszystko w nim było mrokiem, cieniem, nieprzeniknionem, czemś, co wzrok obezwładniało i rzucało sobie pod nogi, czemś, pod czego ogromem człowiek nie mógł krzyknąć:

otoś jest to i nic innego!

Ecclesia.

Tak, tak, tak wyglądała wszelka wiara, wszelka wiara, wszelka religja od wieków i prapoczątku.

Timor fecit deos.

Ani miłość, ani nadzieja...

Tajemna groza owiewa wszelkie mury świątyń.

W strachu, w oszłomieniu myśli, w olśnieniu blaskiem, który nadludzko wznosił, ale cieniami budowę stonił, pokazują się wiary.

Którejż nie jest pierwszą wolą zmiążdzenie duszy ludzkiej przed sobą?

Gdzież jest ta, któraby nie żądała zgięcia kolan, przytykania czoła do płyt kamiennych?

Gdzież jest, lub kędyż była?

Jestże wiara-przyjaciel, wiara-brat, wiara-siostra i matka?

Nie — jest tylko pan, nie doradca, ale rozkazodawca, nie opiekun, ale władca, ojciec panujący.

Niema anioła wywodzącego z domu niewoli, z pola i obrębu walki złego i dobrego ducha — jest tylko nad głową człowieka ich walka, ich zmaganie się odwieczne i wieczne.

Niema geniusza dobrego, jak Sokrates, mądrego, uczącego iść między dobrem, które jest niedostępnym, i złem, które jest złem, drogą średnią, człowiekowi możebną.

Albo szatan, albo postaci niedościgłe, cnotą urosłe do przerażenia.

Timor fecit deos.

To nad nami; lecz przed nami cóż jest?

Egoizm chaldejski, perski czy starożytnego Egiptu, egoizm popierający to, co jego wzajem popiera, jest panowanie wsparte o panowania, jest łańcuch spleciony z łańcuchami, aby się kula świata trzymała u pułapu zamarcia, łańcuch spleciony z łańcuchami, aby nie pękł i ich moc i tęgość wzmacniająca.

Więc gdy wszelka władza od bóstwa pochodzi, a świat cierpi?

Więc gdy arcykapłan przepowiedniami zaćmienia słońca muruje tron faraona, a faraon rotami wojska otacza tron arcykapłana — a w Nilu krew niewolnych?

Z założonemi na piersi rękami stał Łanowski naprzeciw katedry.

Wyzywał ją.

Wyzywał ją w imieniu cierpiących, którzy z jej drzwi żelaznych Chrystusa wołali.

Wyzywał ją jako fundament, ostoję, opokę i błogosławieństwo rzeczy, których nienawidził;

jako ich matkę, uświęcenie, uprawnienie;

jako ich wytłómaczenie, usprawiedliwienie,

jako ich ukoniecznianie —

tak — ukoniecznianie!

Oto stoję sam, mały człowiek, naprzeciw ciebie, katedro.

Sam jeden, tak słaby, że jednego kamienia z bruku na placu przed tobą nie byłbym zdolny wyrwać.

A jednak ty drżysz przede mną.

Drżysz w fundamentach swoich i drży puste wklęsłe wnętrze kopuły twojej, tak wysoko wzniesionej.

Drżą twe filary olbrzymie, schody i ściany z ciosu i krużganki twoje.

Drżą głazy, z którycheś pobudowana demoniczną siłą.

Drżą twe ołtarze i krzyże twoje, nawa twa przepiętna i kaplice ogromne i schody twe kolosalne i dachy miedziane i kopuła twa nad Rzymem panująca.

Drży wnętrze twoje i serce w tobie, które się kołysze niewidzialne w pośrodku równowagi two-

jej, w węźle idealnym budowy twojej, naokół którego rozłożyłaś twe gigantyczne człony.

O zaiste! Od wieków, od prairstnienia świata był ten punkt naznaczony, środkowy punkt pomyślenia o tobie, w powietrzu wisiał, w przestrzeni, a duch ludzki pracował naokoło i tkął tę sieć idealną, której ty oto jesteś wyrazem, murowana z ciosów, olbrzymia, święta katedro...

I nie domyślał się dziki pierwotny strzelec tędy idący, że pieśnią trąca w ciebie, która tu już stałaś od prawieków, pomyślana przez przeznaczenie.

Więc gdy od początku świata tu stoisz, jestże to możliwem, aby nadszedł dzień, kiedy ciebie nie będzie?

I jestże ktoś zdolny to uczynić?

I możeż on to zrobić?

Lecz jeżeli o ciebie opierają się rzeczy, których dusza człowieka wolnego nienawidzi?...

Małe, zaiste małe są fale w Tybrze.

I małe są fale we wszystkich rzekach.

I małe są fale morza i oceanów w porównaniu do rzeczy wielkich.

A jednak cząstka wody ruszona kędyś oto przez wiatr, rosnąc i potęgując się i szerząc się rozkołysuje morza i oceany.

I z małych oto drobnych kobiecych rąk mogą rzeczy, od których wierzeje nowej epoki pękają i ludzkość w nią wkroczy pomimowolnie.

I z drobnych i nikłych przyczyn wynikają wielkie sprawy.

Oto sztylet, którym zabito Cezara, maleńki był, okruch stali, a i na krzyż Chrystusowy, na ukrzyżowanie serca powszechnej ludzkości, nie potrzeba było nawet drzewa całego.

I arka Noego, z której się rozplenił świat, w porównaniu do morza i potopu czyż była czemś ogromnem?

I nie była otoczona zastępami rycerzy Ruth, ani Judyta.

I Dawid był tylko pasterzem i kamień jego procy mały był.

I oto mała, pierwsza lepsza Polka może być owym ziemi kawałkiem, na której leżał kamień Dawidowy, ową grudką ziemi, z której się wylupał, równie bezwiedna, jak ta grudka ziemi, że kamień ugodzi w czoło Goliata.

Unosiła się myśl Łanowskiego.

Czył on, że nie myśli, ale hymn jakiś rodzi, jakąś pieśń wojenną naprzeciw opłynionej blaskiem miesięcznym katedry.

Stał, jakby przykuty do bruku placu przed nią, a ktokolwiek przechodził, myślał, że podziwia i zatonał w zachwycie.

On zaś dotykał duchem jej ścian, próbował ich.

Zachybotął w myśli murami, podźwignął je, wyparł z ziemi.

Z płonąca głową, z bijącym sercem stał naprzeciw kościoła.

Ani świętości, ani dzieła sztuki w nim nie widział, tylko ostoję rzeczy, których nienawidził.

Grozę, strach, pokłon dawno przewalczył w sobie, młodzieńcem jeszcze będąc.

Sam zwał się fanatykiem, fanatykiem pracy nad szczęściem ludzi wolnością.

Wierzył w swą ideę, wierzył, że nowy Rzym tylko na ruinie starego Rzymu mógł powstać.

Dla niego nie było wahań się, kompromisów, pośrednich dróg; płonął cały, palił się.

Tam, w górze, w pałacu, świeciło się okno; tam może czuwał, widział go i patrzył nań stamtąd ów potężny kardynał, który mu z ironją ofiarowywał fotel u siebie, gdy go zmęczy ogień wewnętrzny.

Spokojna, sceptyczna, pewna siebie i swej wyższości, klepiąca po ramieniu pobłażliwość, a wewnątrz, w duszy, nienawiść.

Cóż urodzą dwie naprzeciw siebie stojące nienawiści?

.....
Lecz duszę Łanowskiego napadł niepokój.

Chcesz zniszczyć — lecz cóż dasz?

Cóż dasz tym nędzaczom, którzy cokolwiek robią, czemkolwiek są: mają w głowie tylko dwie myśli: wiara i śmierć?

Ta wiara jest im niepotrzebna, niktby nie wierzył, gdyby nie było śmierci.

Alem tam — czy to będzie nirwana, czy cztery hurysy, czy raj, czy step pełen bizonów — tam potrzebna jest wiara, tam nim się pójdzie, że się pójdzie i dokąd.

Tu zaś jest ona sterem, jest busolą, jest wszystkim,

Miślisz, że człowiek jest przede wszystkim zwierzęciem? — nie, on jest przede wszystkim duchem.

Jestże on przede wszystkim kupcem, politykiem, robotnikiem, sportmanem, zdobywcą, obrońcą, wychowawcą, rozkosznikiem, sędzią, poetą, dwupłciowcem?

Nie — on jest przede wszystkim istotą religijną.

Bóg jest wszędzie — albowiem jest w każdej sprawie ludzkiej.

Niema Boga w pustyni, w której nikogo niema; niech jeden człowiek samotny na pustyni tej stanie — Bóg jest.

Oni ciągle Bogiem żyją, o Bogu myślą.

Jest to im tak wrodzone, jak skóra na ciele, albo wnętrzości. Nikt przecie bezustanku nie przypomina sobie: mam skórę, mam jelita — jednak nieustannie pamięta o tych dwóch właściwościach swego bytu, nieustannie i przede wszystkim.

Bóg jest ucieczką świata — o wielkie, o mądre, o największe słowa!

Gdy więc się im Boga odbierze — cóż się im da?

Lecz jestże Bóg zamknięty w tych murach?

W tej katedrze Świętego Piotra?

I jestże On?

Lecz niech przyjdzie nowa Jego postać, nowa forma!

Nigdy nikt Go nie widział i nigdy nie zobaczył! Co Bogiem jest świata, będzie wiecznie i niech będzie, lecz maż być zmonopolizowane?

Maż być jakaś kasta ludzi zasłaniająca tem, co świat Bogiem zwie, swój ludzki interes?

Maż istnieć jakiś specjalny naród pośród narodów, jakaś wojskowa kasta, której prosty żołnierz stawia się w sprawie ducha wyżej niż mędrzec i wyżej niż genjusz?

Nie! Po trzykroć nie!

Łanowski uczuł dotknięcie na ramieniu; obejrzał się — poza nim stał Szafrąński.

— Obywatelu-prezesie — rzekł — *corpo di Bacco!* Czas!

— Czas? Czas? — odpowiedział Łanowski, budząc się, jak ze snu.

— To jest, panie dziu, więcej niż zdruzgotanie, panie dziu, państwa rzymskiego, albo odkrycie, panie dziu, Ameryki! Ja to sam myślałem, tylko nie umiałem sobie tego, panie dziu, zdefiniować, o co chodzi. A to o *to* szło. Jesteś, obywatelu prezecie, genjusz! To ci się może, dziu, księżna Korecka ucieszy, gdy się dowie, czemu pomogła! — mówił Szafrąński.

Łanowski uśmiechnął się.

— Myślisz, obywatelu, że się ucieszy?

— No jakżeby miało być? To zacna baba, z kośćciami!

— Katoliczka!

Szafrąński stropił się i rzekł:

— Jak Boga kocham! Nie przychodziło mi to na myśl! Jak Boga kocham! Prawda! No to ona się zmartwi?

— Jak Boga kocham — rzekł śmiejąc się Łanowski — zmartwienie księżny Koreckiej nie wpłynie na mnie, ani na moje zamiary i czyny. Nie obawiasz się, pan?

— Ja? Czego?

— Następstw.

— Następstw? Jakież być mogą?

— Zapewniam pana, że będą straszne. Nigdy namiętności i nienawiści ludzi nie naprężą się do takiej miary!

— A no to nic, dobrze, vederemo! Psiakrew panie neapolitańska!

— A więc chodźmy.

Łanowski i idący obok niego Szafrąński skręcili szybko z Placu Świętego Piotra w boczną ulicę, szli pewien czas i wstąpili do domu nieco opodal położonego.

Stojący w sieni hrabia spiskowiec, Włoch, powitał ich słowami: czekamy.

— Chciałem się pożegnać — rzekł Łanowski.

— Z kim? Przecież nikt z nas nie zginie.

— Byłem tam — patrzyłem na kościół. Nic podobnego już nie wyda świat.

Tymczasem w olbrymiej katedrze Świętego Piotra sam jeden, słysząc donośne echo swych kroków, błąkał się kardynał Murri.

Głowa jego płonęła i piersi dyszały ogniem.

Szukał on opanowania samego siebie, szukał mocy aby sobą zawładnąć.

Nie w modlitwie jej szukał, ale w murach zim-

nych i twardych i w widoku w ogromną wysokość
wzniesionej kopuły, przez której szyby świecił
księżyc.

Chłód i mrok tych murów chłodził go, krew
w nim ziębił. Olbrzymia ta budowa była basztą
twierdzy katolicyzmu, turmą potężną religii rzym-
skiej, turmą świata.

Przez mozaikowe okna wnikał wewnątrz blask
miesięczny, w głąb murów. Kardynał Murri roz-
pręzał pierś. Czuł on, że cały ten kolosalny ko-
ściół, nawy i kaplice, podziemia i kopułę winien
wypełnić duchem swoim. Jakże potężnym winien być
taki duch, jak kolosalnie wielkim! A jednak do każ-
dego kamienia ściany, do każdej cząsteczki tynku
winien przylgnąć i nigdzie go braknąć nie może, aby
całość była doskonała, zupełna i nieskazitelna.

Złać się w jedno musi wewnętrzne z zewnętrznem.
Nie może braknąć ducha w piersiach księdza na
wypełnienie tej katedry, wzajem katedra rozprężyć
go musi jak sama jest wielka!

I nic tu innego wejść nie może.

Precz ludzka słabość, precz obłąkanie zmysłów;
szal cielesny! Precz wszystko, co nie jest duchem,
jakim duch księdza być winien! Precz!

Kamień jest w tym oto Mojżeszu, którego Mi-
chał Anioł pod nazwą postanowił. Kamień Boski!
I więcej nic! Ludzie schylają przed nim głowy
i patrzą nań w pokornej adoracji. Albowiem przed-
stawia on, czego Bóg chce, czego Bóg chciał.

Minęli czasy. Bóg nie objawia się w krzaku go-

rejącym, ani na górze Synai. Bogiem jest Rzym!
Papiestwo stwarza dekalog. Mojżeszem jest, kto
tablice mieć będzie!...

Łanowski, Szafranski i kilkunastu sprzysiężo-
nych sunęło się z latarniami w ręku ciemnym,
podziemnym, pod ulicami wiedzionym tunelem.

— Proszę stanąć! — zawołał Łanowski.

Zatrzymano się.

Potań zapałkę i zapalił sznurek nasycony saletrą
i siarką.

Za chwilę kardynałowi Murri wydało się, iż
ziemia leci w otchłań...

Wstrząsnął się świat.

Katedra Świętego Piotra, Kościół świata runęła.
Zrazu myślano, że trzęsienie ziemi.

Lecz nieporuszone stały: kolumnada Berniniego
i budowle Watykanu.

Runęła więc własnym ciężarem?

Niepodobna: to stać się nie mogło.

Zatem podłożył ktoś dynamit?

Głucha groza oświadła tłumy.

Rzym cały przybiegł na Plac Świętego Piotra.

Godziny mijały, a nikt kroku ku ruinie uczynić
nie śmiał.

Nikt nie przekonywał się, jak wielki był roz-
miar zniszczenia, nikt nie szukał co ocalało?

Rzym osłupiał.

Godzina za godziną biegły i już świt szarzyć
zaczął na niebie.

Wtem dreszcz przeszedł po tłumach — coś zamajaczyło wysoko na zwalisku.

Postać człowieka!

— Święty Piotr!

Święty!

A postać owa wzniosła się na gruzach i wyciągnawszy rękę ku niebu, nad głową wielkim zamachem czyniąc krzyż nad światem, ogromnym głosem zawołała:

In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen!

Tłum runął na kolana z jękiem; szlochem i krzykiem.

Człowiek na ruinie stał z wzniesioną ręką ku górze.

Łanowski widział go śród tłumu i poznał.

Murri, kardynał...

Widząc go, patrzył nań i nie mógł opanować leku poprostu.

Stał na ruinach jak pan świata, dusz i serc zwycięzca.

Któż zgromił?

Oto miesiące całe za miliony księżny Koreckiej kuto podkop pod katedrę, aby ją wysadzić w powietrze, kuto z nadludzkim trudem, przy niebezpieczeństwach strasznych, wysileniem genjuszu — i oto tam, na szczycie ruiny stoi ksiądz...

Zwycięzył.

Gdzie dumna stanąć miała nicość, stoi ksiądz.

I rękę wyciąga i krzyż robi nad tłumem i tłum kłęka.

On włada!

On panuje!

Nie genjusz, nie duch, nie król, — on włada, ksiądz!

Niepokonany!

Rękoma swemi Łanowski podniósł i obalił symbol katolicyzmu, a oto na ruinie tego symbolu stoi ksiądz i tłum na kolana przed sobą rzuca.

In hoc signo vinces!

W tym znaku zwyciężysz!

Nie, może to obłąd przepracowanej, przetężonej myśli, wzruszenia na widok dokonanego dzieła?

— Per Bacco! Ja tego karczaka znam! — szeptem Szafranski.

— Kardynał Murri! — Łanowski poznał kardynała i począł się trwożą gnany wpatrywać weń z tłumu.

* * *

Kto to jest: czy Święty Piotr, Apostoł?...

Lecz mąż z gruzów woła głosem silnym:

— Podajcie mi drabinę!

On tam był! On był w kościele, gdy kościół miał być wysadzony w powietrze. Lecz potężniejsze były mury kościoła, w których Chrystus mieszkał, niż dynamit i zbrodnicza ręka człowieka. Runął front kościoła, ale jego główny ołtarz ocalał.

Bez zmysłów padł pod nietkniętą nawą kardynał Murri i godziny długie bez zmysłów przeleżał. Lecz gdy się ocknął uczuł w sobie siły, które go podniosły i znalazł drogę, która go wywiodła. Pan

go wiódł, Pan zastępów i chwały, On, który osłał
szczęką przez ramię Samsona Filistynów pognębił,
który kierował ramieniem Jozuego, Gedeona i Ju-
dyty, który kamień z procy Dawidowej wypuścił
i we krwi nieprzyjaciół brodzący lud swój wybra-
ny prowadził, a Sodomę i Gomorrhę deszczem ogni-
stym poraził.

Pan zwycięża!

Zawrzał świat.

Stary Szafrąński nie podejrzewany o nic nie
brał udziału w ulicznych starciach, uważał to za
niegodne siebie. Uważał on się teraz za osobę
ogromnie ważną i której wielka rola światowa do-
piero się rozpoczęła. I słusznie. Największe dzieło
postępu, za jakie miał tak straszliwy poryw na re-
ligję rzymsko-katolicką, nie byłoby nastąpiło bez je-
go pomocy, gdyby nie on. On to sprawił, iż zna-
lazły się środki na dokonanie zamachu! On, stary
Szafrąński, „żołnierz pół wolności”, który poszedł
umyślnie na kazanie złotoustego Ojca Adeodata,
gdy grzmiał z ambony na sprawców zamachu, że
się mury świątyni trzęsły, i tam tak ryczał, płakał,
szlochał, buczał, a przytem kaszlał, spluwał, ki-
chał i brał udział w oburzeniu, że trzy razy kaza-
nie przerwał i jako świątobliwy staruszek głośno
został wymieniony.

Gdyby księżna Korecka wiedziała naco jej mi-
lony poszły!...

Szafrąński siedział w swojej suterenie w nie-
bieskiej koszuli w kraty. Było południe i skwar do-
piekał. Szafrąński krajał cienkie plasterki salami,
do ust je wtykał chlebem pszennym przegryzając
i głową kiwał.

— He, co, dziełko, co?

Świątynia Djany w Efezie?

He, co?

Nie spodziewaliśmy się niczego podobnego, cor-
po di Bacco! He?

Ruinka, panie dziu, zwalisczka, co?

Świątynka — fiut!

Kościółek — brzdęk!

Zostało go jeszcze większe pół, ale i to się
zwali, o zwali!

Jeszcze żyje Bolcio Łanowski i stary Piotruś
Szafrąński!

Co?

Nie myślało się nigdy niczego podobnego, nie
przypuszczało.

Puff! psia ci panie mać, faj! panie bdiu!

Pracka się przeżyła, liszko ją musi wziąć.

Niema, panie dziu, nic trwałego na świecie.

Religje, psiakrew, panie, przeżywają się, jak ko-
biety.

Wszystko się na świecie starzeje.

Rodzi się, panie dziu, żyje, rośnie, przeżywa,
starzeje i umiera!

Hu-hul

Nic się nie ostanie czasowi.

Byli mędracy, byli!

Nauczyciele, kaznodzieje, proroczkowie, pół-
bożkowie, bożkowie opatentowani.

Fajt! Fiut!

Nic nie zostało.

Zoroaster, Zendawestra, Bramaputra, Mandra-
gora, Oktopatral!

Huhuhu!

Marszczymy brewki, co?

Nic nie pomoże.

Jedno jest tylko trwałe: duch ludzki dążący.

Jedna jest tylko prawda: pragnienie duszy.

Jedna jest tylko zasada: poszukiwanie.

Na swój czas byliśmy dobrzy, doskonali!

Byliśmy mądrzy, postępowi, mieliśmy kulturę.

Ale dwa tysiące lat to kawał czasu.

Zanadto straszylіśmy Jehowę.

W pogardę podawali ziemię, ciało, życie całe.

Ludzie tego nie chcą!

Chcą żyć!

Jak Grecy, panie dziu, jak poganie!

Chcą, psia ci panie mać, używać! Używać, pa-
nie bdziu, bo czego nie użyjesz, to ci przepadło!

W raju ci, psiakrew panie, nie dadzą jeść, pić,
tańczyć i...

Ale tylko śpiewaj chwałę! He?

Trzeba było nie straszyć tyle Jehowę.

Ani piekłem za byle co.

Nie opluwać tak życia cielesnego.

Nie być suchym rabinem gardzącym pogańską
pięknością, rudością i rozkoszą życia.

Trzeba było być trochę więcej Grekiem, a tro-
chę mniej Semitą.

Nie przyklejać nowej wiary do barbarzyńskiego
żydowskiego zakonu.

Nie obrzydzać życia!

Nie stawiać wieży na więziennym gmachu!

Nie kazać wachać lilji w dyby zakutym!

Toby się nie było na to zeszło, naco się zeszło!

Szafranski z początku mówił z humorem, je-
dząc salami z chlebem, ale potem przestał jeść,
a w końcu odwrócił się obrażony z krzesłem ty-
łem do ściany, do której mówił.

W tej chwili głośne krzyki, klątwy, wrzaski
i śmiechy doleciały jego uszu.

Spojrzał przez brudne okno na ulicę.

Bito się.

Tłum z czerwonymi kokardami na klapach i czer-
wonemi wstążkami na kapeluszach pędził przed
sobą młodego, tłustego księdza w szarfię, nie bijąc
go, tylko tocząc przed sobą, jak kukłę.

Szafranski zatarł ręce.

Ksiądz, toczony z rąk do rąk, machał rękami
i krzyczał.

— Bąk! Bąk! — zawołał Szafranski z nad ziemi,
otwarłszy okno. — Na szarfę go! Będzie brzęczał!

— Bąk! Bąk! — huknął tłum wśród śmiechu. —
Na szarfę go!

Zerwano szarfę z księdza.

— Zakręcić go! Puścić! Niech brzęczy! — komentował Szafrąński.

Owinięto księdza szarą i kilkanaście rąk „puściło” go z niej, jak baka dla dzieci.

Dziki tłum ryczał ze śmiechu.

Lecz ksiądz wydarł się, skoczył w bramę i widząc najbliższe otwarte drzwi od suterenu Szafrąńskiego wpadł w nie i zbiegł nadół po schodkach.

Popędzono za nim.

W pełnym słońcu padającym na ścianę przez otwarte okno jaśniał obraz Chrystusa.

Napastnicy ujrzeni go i stanęli przed nim. Popatrzone na obraz i na Szafrąńskiego.

Był to tłum obcy Szafrąnskiemu, nieznanie twarze z różnych dzielnic miasta.

— A to co? — zapytał jakiś osmolony drab, widocznie z kuźni, wskazując na wizerunek.

Szafrąński obraził się i krzyknął:

— Widzisz, capie, że Jezus!

— Watykański? — zapytał Szafrąńskiego drab nie zwracając uwagi na przydomek.

Szafrąński obraził się jeszcze więcej.

— Ty mnie będziesz egzaminował?! Ty mnie?! — rzekł przystępując groźnie ku drabowi.

— A cóż? Jak nie watykański, to nasz! Ale obraz?

Wtem krzyknęła jakaś kobieta z czerwoną karkadą na głowie z tłumy:

— Bał się, bo ma obraz! Wierzy! Dlatego na księdza z okna szczał, żebyśmy go minęli! Ot co!

— Milcz, psiakrew, putta maledetta! — wrzasnął Szafrąński w furji. — Jabym się miał kryć?! Ja?! Ja?!

— A cóżes to ty, stara bestjo?! odpowiedziała mu kobieta.

— Ja! — zaczął Szafrąński.

Ale z tłumu wyskoczył młody student i chwycił za ramię, aby obraz zedrzyć ze ściany.

Szafrąński rzucił się ku niemu, odepchnął i wrzasnął:

— Precz! Nazad! ...synie!

— Watykański, czy nie watykański — krzyknął drab z kuźni — nadół z tęczą!

I chciał złapać za obraz.

Ale Szafrąński stanął między nim a obrazem z nożem od salami w ręku, z twarzą tak strasznie groźną, iż choć był mały i stary, a osmolony drab duży i młody i z pałką w ręku, osadził go w miejscu.

— Bronisz, psia wiaro?! — krzyknął drab.

— Bronię, bo moje! — odpowiedział Szafrąński.

— Watykańskiś?!

— Nie tobie się będę sprawiał, jakim, capie z Pęstum! Lepszym od ciebie! Precz ztąd!

— Z katolikami trzyma! — krzyknęła kobieta.

Szafrąński stał naprzeciw tłumy i zukosa spojrział na obraz. Jasne światło padało na głowę Chrystusa w ubogiej izbie wisząca, a oczy Jego patrzyły spokojne i zaświatowe, zdając się mówić:

— Byłem ci przyjacielem wiernym. W każdej godzinie i w każdym strapieniu. Ja będę przy śmierci twojej.

— Nadół z tęczą! Nadół z tęczą! — krzyknęły niecierpliwe głosy.—Bąka puszczać! Bąka puszczać!

Ksiądz drżał wtulony w ką.

Student, osmolony drab i kobieta z czerwoną kokardą rzucili się ku Szafrąnskiemu i obrazowi; kobieta chwyciła Szafrąnskiego za włosy, drab zdarł obraz ze ściany i rzucił na ziemię, a student wskoczył nań nogami. Z pod podeszw jego i obcasów oczy Chrystusa rzekły do Szafrąnskiego:

— Ja będę przy śmierci twojej.

Naówczas Szafrąnski miotnął się jak lew ryczący. Kopnął damę z czerwoną kokardą w podolek, aż przysiadła, i z nożem natarł na studenta, ale w tej chwili trącony z rozmachu pałą przez osmolonego draba w skroń, zwałił się na podłogę. Krew bluznęła z pod kości i twarz Szafrąnskiego pobiełała śmiertelnie.

Tłum rozstąpił się wobec krwi i śmierci nadlatującej.

— Księdza! — Księdza! — ozwały się nagle tu i owdzie głosy w tłumie. — Gdzie ksiądz?!

— Tu! Tu! — ci i owi odpowiedzieli.

Wyciągnięto księdza z kąta; drżał, ale powiódł triumfującymi oczyma po obecnych.

Zbliżył się ku Szafrąnskiemu i nachylił się nad nim.

— Won! Pało! Nie ty Szafrąnskiego będziesz żegnał... Ja... pod katedrę... dynamit..

— Przeklęty! — krzyknął ksiądz cofając się, jak od zmi.

Szafrąnski spojrział nań z podłogi zamglonemi oczyma wyniośle.

Tłum pozierał po sobie; student usiłował przybrać wyraz inteligentnej ideowej obojętności, kobieta z czerwoną kokardą znikła za plecami mężczyzn, a drab osmolony spoglądał na Szafrąnskiego jak głupie, bezmyślne, idyotyczne zwierzę. Ksiądz zrećcznie posuwał się ku drzwiom, aż wydobył się do sieni i z sieni na ulicę, gdzie szybko począł się oddalać, przebierając krótkimi tłustymi nogami.

Szafrąnski konał. Tłum stracił pewność siebie, stracił cel swojej bytności w izdebce — poczęto się cofać od widoku śmierci i wycofano się cizbą na ulicę.

Szafrąnski padł tak, że widział oczy Chrystusa, patrzące nań z podłogi, gdzie leżał obraz.

— Bądź zdrow! — szepnął Szafrąnski. — Mieszkałeś u mnie... Vile!...

Patrzył w oczy Chrystusa jasne, spokojne, zaświatowe, patrząc nań z podeptanej twarzy.

Nieśmiało, ostróżnie wysunęła się z za drzwi głowa odzwiernej.

— Święty January Neapolitański! Madanno Loretańska! — krzyknęła w przerażeniu, ujrzawszy Szafrąnskiego z rozbitą głową na ziemi.

— Zrestaurować... Zawiesić... obraz — szepnął Szafrąnski. — Bądź zdrowa, pani Agato Scipio... Honorowo, panie dziu... Mieszkał u umie...

Vale... amice...

* * *

Płomienny kaznodzieja, złotousty Ojciec Adeodat, miał kazanie na przedmieściu. Sławił on dobroć Opatrzności, przeciwko której Antychryst powstał, a która wszystko przewidziała i wszystko przysposobiła, nim stworzyła świat.

...Gwiazdy zostały zawieszane u stropu, księżyc i słońce! Księżyc, aby świecił w nocy i wskazywał bieg księżyca, słońce, by świeciło w dzień, grzało i rodziło zboże, kwiaty i owoce ziemi gwiazdy, by niemi człowiek cieszył wzrok i by wskazywały drogę wędrowcowi wśród oceanów... Stworzony został węgiel, aby człowiek mógł gotować przy nim strawę i grzać się w czas zimna, olej wpuszczony został w żyły skał, aby człowiek rozświetlał nim ciemności nocne, a gdyby węgla i oleju skalnego brakło, Opatrzność stworzyła elektryczność... I tak wszędzie i zawsze, wszystko zostało człowiekowi danem, wszystko z myślą o nim stworzonym, zawsze celem był człowiek i jego potrzeba. Nato został stworzony koń, aby człowiek mógł jeździć na nim, nato wielbłąd, aby go niósł przez pustynię, nie potrzebując wody ani pożywienia. Miljony lat, nim Adam powstał ulepiony z gliny Raju, wszystko było przewidziane i postanowione...

Naprzeciw Ojca Adeodata stał pod ścianą świątyni Łanowski i patrzył weń płomiennymi oczyma, blade z zacisniętymi ustami. Ci ludzie zwyciężają go, druzgocą jego sprawę, mają sto głów... ci ludzie...

Tymczasem zaś w innej stronie świata wielki dramat dziejowy rozgrywał się dalej. Szalały morza i rzeki narodów, w kotle gotował się nowy kształt olbrzymiego odłamku ludzkości, kształt na wzór pierwotnego: zwycięzców i zwyciężonych, mocy, potęgi, niedoli i ucisku.

* * *

Korecka powracała do zdrowia. Mury Świętego Piotra jakby runęły na nią. Nagle na placu, uderzyła jej w skronie krew, zawirowało jej serce. Przywieziono ją w spazmach do pałacu. Straszliwe wstrząśnienie rzuciło ją w obłąd wizyj, gorączki i zamierań, między noc czarną i piekło płomieni. Bronzowa, otoczona luną światła, twarz kardynała, wchodziła jej przed oczy, jak ogromny księżyc w pełni z chmur, to znów zapadała w ciemności nieprzejrzane. Czowała, że coś się stało, ale co — nie mogła sobie zdać sprawy. Ktoś jakby chciał jej powiedzieć, wytłumaczyć, ale nie mógł. Siliła się, męczyła, aby pojąć — napróżno. Nic nie mogła zrozumieć. Rozpacz ją chwytala — i znów płomienie, noc, owa twarz bronzowa i ciemność... wszystkie siły skupione, aby się wydrzeć, opanować — i nie móc... Wtem staruszek jakiś, biały, krwawy, zbliżył się ku łóżku i trzy razy zapukał w płytę marmurową nocnego stolika, który stał obok...

Korecka ocknęła się.

Powróciła jej myśl.

— Żyje?! — krzyknęła do zakonnicy, drzemiącej w fotelu.

— Tak, jasnie oświecona księżno — odpowiedziała zakonnica budząc się.

Korecka popatrzała na nią wielkimi oczami.

Była ta osoba stara, brzydka, zmarszczona, która widać wszystko wiedziała.

— Jego eminencja odpoczywa, leży w łożu, nie przyjmuje się nawet listów, nim odzyska siły.

Skłoniła głowę i ujęła różaniec w ręce, przysłaniając powieki.

Korecka poglądała na nią jakby z przerażeniem — coś wiekuistego było w tej osobie.

Żywy to człowiek, czy wiekuiste widziadło?...

Korecka nie śmiała się już odezwać; zakonnica powoli przesuwiała różaniec w rękach, poruszając ledwie znacznie zwiędłymi wargami i szepcząc zupełnie niedysłyszalnie.

— Jak długo leżę? — bąknęła nieśmiało Korecka.

— Drugi tydzień, jasnie oświecona księżno — odpowiedziała półustami zakonnica i pocisnęła guziczek elektrycznego dzwonka, którego sznur leżał na poręczy fotela.

Wszedł lekarz i kilka kobiet ze służby. Wszyscy byli pod okropnym wrażeniem faktu i choroby księżny, przejęci nią. Czuli, że przychodzi do siebie, udar nerwowy ustępował.

— Czy są listy? — zapytała.

Podano jej listy, które nadeszły. Odrzuciła inne i wzięła list Toszczyńskiego.

...Wyobrażam sobie — pisał — jak straszego wstrząśnienia doznała pani, będąc tak blisko tej katastrofy, od której zadrżał cały świat cywilizowany, i z pani naturą tak nerwową i religijną. Ale ja, kiedy tu znowu siedzę nad moim niebieskim jeziorem, dokąd powróciłem, w zupełnej ciszy i zupełnym od wszystkiego oddaleniu i odosobnieniu, i kiedy myślę nad wypadkiem Rzymu, nie wiem czy głośniej mam wołać o pomstę do nieba za ten niebywały akt barbarzyństwa, czy więcej podziwiać tego, który go pomyślał? Bo zaiste nie był pospolity człowiek.

To się nie da zaprzeczyć, że jeżeli jeden człowiek nie mający do rozporządzenia armii Napoleona i niemożący stać się Lutrem, chciał w niesłychanie szybki sposób wywołać wir na świecie, jeżeli mu zależało na skupieniu uwagi świata na jednym punkcie w zamysłony sposób, to nie mógł nic właściwszego wykonać. Pomyśleć tylko: zwalić dynamitem katedrę Świętego Piotra w Rzymie!...

„Nasz wiek — mówił najmędrszy z ludzi, Kant, a ten wiek jest i naszym wiekiem — jest właściwym wiekiem krytyki, której wszystko musi się poddawać. Religja przez swą świętość, a prawodawstwo przez swój majestat chciałyby się od niej uchylić. Ale wtedy budzą słuszne podejrzenie i nie mogą wymagać szerszego poszanowania, które rozum przyznaje tylko temu, co zdołało wytrzymać jego wolną i publiczną próbę”...

Albowiem „Królestwo Boże na ziemi — oto osta-

teczne przeznaczenie, oto pragnienie człowieka (Przyjdź Królestwo Twoje!). Chrystus je zbliżył do nas; ale nie zrozumiano Go."

Ten burzyciel Katedry Świętego Piotra — nie wiem, czy Kanta czytał — nie co innego, ręczę pani, myślał. A raczej on czuł, nie myślał. Bo aby „myślać zwałac i podźwigać trony” — trzeba przedewszystkiem czuć miłość lub nienawiść.

To jakiś potomek Mickiewicza improwizującego „w samotnej celi”. To jakiś człowiek, który spróbował, czy mógłby „sto gwiazd zgasić, a drugie sto wzniecić?”.

Tak wielki zimny myśliciel i wielki gorący poeta zeszli się z sobą, spotkali. Jest to daleki łuk pojęcia, ale nie wątpię, że go pani przebyć zdoła równie szybko, jak łatwo on się mózgowi nastęcza.

Wie pani, że mogę odczuć okropną, nadludzko barbarzyńską szkodę, jaką ten człowiek światu wyrządził, nigdy niczem niepowetowaną i za którą „katorgi nawet mało” — ale, daję pani słowo, chciałbym tego szaleńca widzieć! Jakiś Orlando szalony z twarzą Antychrysta i skrzydłami Szatana u ramion!...

Toszczyński inaczej pisać nie mógł. Nie było tam ani oburzenia, ani klątw, ani nawet zdziwienia. Dojrzałe, spokojne spojrzenie na fakt i podziw dla tego, kto szaleństwo pomyślał i uczynił, jak dla niepospolitego, zdumiewającego objawu organizacji psychicznej, zdolnej aktu.

Wzięła drugi bilet w kopercie obcem pismem.

Pismo to bez wahań, stanowcze i zuchwale donosiło:

Malarz pokojowy Szafranski zabity. Dokonał.

Na Koreckiej doniesienie to uczyniło wrażenie. Mały starzec żądał od niej pieniędzy na jakiś cel zagadkowy, a „wielki i mający służyć światu”. Kto to był? Dlaczego go zabito? Kto donosi?

Dziwny, mały, ordynarny starzec z pospólstwa...

Zabili — ale zdaje się, nie był to pierwszy lepszy charakter i pewno niema za co go pochować...

— Czy będę mogła wstać? — zapytała lekarza.

— Przypuszczam. Nerwy się uspakajają — odpowiedział.

— Czuję to sama... Proszę, zostawcie mnie...

Mysł jej wyobrazila sobie postać tego, który, jak lew, gdy się wydrze z wykopanego nań dołu z ostrym palem śmiertelnym, nie zna przeszkód, nie zna niebezpieczeństw, ani granic mocy zwyczajnej.

* * *

Łanowski został. Gdy wszyscy spiskowcy rozpierchli się, został. Został, aby walczyć daleko. Został ze swoją ideą, z obsesją swego mózgu walki do ostatka, na zęby. W tem widział odrodzenie świata, dla tego żył. Chciał walczyć tu, w jądrze, choćby zginąć przyszło.

Został on, bo chciał, i niezawodnie został stary Szafranski, i to, jak Łanowski był przekonany, nie tylko dlatego, że wyjechać nie miał za co. Szedł

do Szafrąńskiego pewny, że go w izdebce w suterenie znajdzie.

Zastanowiła go zgromadzona przed domem pewna liczba ludzi żywo rozmawiających. Wszedł w bramę i zwrócił się ku suterenie. We drzwiach spotkał odźwierną. Ta widywała go tu czasem i zaraz zaczęła:

— Nie żyje! Signor Polacco nie żyje!

— Jakto?—zawołał Łanowski zdumiony—umarł?

— Zabity...

Przytknęła chustkę do oczu.

Łanowski pchnął drzwi. Na ubogich marach, obstawiony kilku świecami, z rozdartym i podeptanym obrazem Chrystusa nad głową, zawieszonym już na zwykłym swem miejscu, leżał Szafrąński z dumą i powagą na twarzy białej i do wosku podobnej.

Łanowski stał i patrzył, słuchając opowiadań, szlochań, klątw i żalów odźwiernej. Stary Szafrąński zabrał ze sobą szczegóły swej śmierci, której nikt z obecnych nie był świadkiem, ale pamiętał jak przyjaciel o przyjacielu o swoim Chrystusie w chwili śmierci i miał to na twarzy niezmiernie i uroczyste poważnie zastygłe. To ten starzec pełen ognia, co się ważył na wszystko ten proch życia, atom, co się porwał na największe, mikrob poprostu, który w masie powala olbrzymy...

Łanowski stał bez ruchu; patrzył na te zwłoki. Nagle zwrócił się do stołu, wyrwał ćwiartkę papieru i nakreślił ołówkiem pod adresem Koreckiej:

Malarz pokojowy Szafrąński zabity. Dokonał.

Korecka przyszła. Błada i wysilona. Patrzyła chwilę, obkłaniana przez odźwierną, i ukłękła. Szafrąński miał już sine uszy i twarz zapadłą.

Kilka świec paliło się koło niego i trochę kwiatów miał na piersiach, które dzieci odźwiernej przyniosły.

Wtem oczy jej, rozplamienione i rozszerzone jeszcze gorączką, padły na Łanowskiego.

W jednej chwili zrozumiała wszystko. Wszystko powiedział jej wzrok tego człowieka.

Kocięł wrzący wypełnił jej mózg.

Zgubiła słowa modlitwy za zmarłych. Podniosła się z klęczek na nogi, przeszła ku Łanowskiemu i zapytała jak w jasnowidzącej malignie:

— Wy?!

Łanowski zbiegał i zadrżał. Lecz spojrzawszy chwale i zbiegającymi ustami odpowiedział:

— My!

Korecka rzuciła kilka przygotowanych sztuk złota w fartuch odźwiernej i wyszła.

Wichrem jakimś gnana dostała się do domu. Chwyciła fotografię umiłowanego przez się człowieka i przycisnęła do niej wargi. Długo, długo trzymała ją tak. Potem oparła, jak świętość na podstawie i rzuciła się na sofę z wpiętymi we włosy paznogciami. Serce rozsadało jej gors. Wrzała. Szafrą ją chwycił. Czuli, że jeszcze moment, a rzuci się z okna, roztrzaska głowę o mur — to znów chciała wołać służbę, posyłać po Łanowskiego, kazać go skrępować, aż sznury w kość się werzną

i zawlec przed trybunał... Szamotało się w niej wszystko, co było żywe — aż jakby dłoń łagodna dotknęła jej czoła, a myśl zakwieciła niegdyś w dzieciństwie wyuczone słowa:

„Là-bas, seulement, sous la lampe toujours claire, la Madone.

Elle entra, puis, à deux genoux, avança sur les dalles blanches, vers sa céleste amie, et, inclinée — dalles blanches, vers sa céleste amie, et, inclinée — entre des sanglots, elle balbutia, parvenue aux pieds de Celle qui pardonne:

— Oh! Madame! je suis indigné de clémence! Je ne savais pas, alors que la tentatrice voix me suppliait! — je ne savais pas quel abandon, quel opprobre, hélas! réserve l'amour mortel! O honte! dont je vais mourir, ici, surtout!... Laquelle de Vos filles, ô Mère, ne m'accueillerait d'un signe d'effroi, me montrant le dehors, en cette chapelle?... Oh! j'ai perdu l'espérance, en voulant consoler!...

Alors, comme les silencieuses larmes de Natalia tombaient sur les pieds de l'Élue Divine, et que la jeune fille relevait un regard suprême, chargé d'adieux, vers la Madone, elle tressaillit d'une soudaine extase, car elle vit les yeux sacrés qui la regardaient; et les lèvres de la statue s'entr'ouvrirent; et Celle du Ciel lui dit, doucement:

— Ma fille, ne te souviens-tu pas? Tu m'as confié ton voile, et la clef de ta cellule, avant de nous quitter. Je t'ai donc remplacée, ici, accomplissant sous ce voile, toutes les tâches de tes

voeux: nulle d'entre tes compagnes ne s'est aperçue de ton absence: reprends donc ce que tu m'as confié: rentre dans ta cellule, et... ne t'en va plus..."

A wzrok jej ujrzał jakby łagodnie patrzące przez mgnienie oczy starego Szafrąńskiego, z cichym uśmiechem między siwymi wąsami a siwą brodą.

* * *

Murri czuł się czcياً otoczony, jak święty. Przed pałacem jego, gdzie leżał w łóżu, odpoczywając i przychodząc do siebie po straszliwym wstrząśnięciu, gromadził się tłum. Wybrany mężem był, aby się pokazało, że choć mury piekielną ręką zbrodniarza podminowane runą, nie zginie zasada, nie zginie ten, który reprezentuje Pana naszego, Jezusa Chrystusa, Syna Bożego i Boga Przedwiecznego na ziemi.

Tłum tłoczył się w uniesieniu i olśnieniu i wszelka etykieta ustała. Ciągnęły rzesze, wypełniając od rana do wieczora otwarte podwoje. Dopiero od tamtych pokoi puszczano po kilka osób. Żądano pamiątek jak talizmanu, błagano o cokolwiek, o strzępek.

Dwunastego dnia kardynał ku podziwowi i wbrew woli lekarzy wstał i kazał się posadzić w fotelu. Organizm kalabryjskiego chłopca wytrzymał wszystko. Tegoż dnia nad wieczorem kamerdyner zameldował grono osób, chcących mieć szczęście dopuszczenia przed oblicze cudownie ocalonego męża.

Kilku mężczyzn i kilka kobiet wstąpiło do komnaty.

— Nie mam już nic — rubasznie ozwał się nie czekając kardynał — rozdałem już wszystko co mogłem.

Przybyli zwiesili głowy, gdy ktoś z pośród nich ozwał się po łacinie:

— Odpraw, eminencjo, tych ludzi i asystę i pozwól mi przez chwilę zostać; mam coś ważnego do powiedzenia tobie samemu.

Kardynał zdziwiony wyprawił przybyłych, dawszy im rękę do ucałowania i błogosławieństwo ogólne na drogę, a gdy pozostali z Łanowskim, który się odezwał, sami, rzekł przypatrując się mu:

— Pan tu już u mnie był. Anarchista.

I pan tu?!

Naprzeciwko stał Łanowski.

Blady i zdecydowany patrzył wprost w twarz Murrego.

— Tak, to ja — odpowiedział. — Aresztują niewinnych ludzi, torturują, wymuszają zeznania. To ja zwałem mury Piotrowe na twą głowę, co prawda nie wiedząc, że tam jesteś. To ja zburzyłem kościół, którego w trzech dniach nie odbudujecie na nowo! Każ pan wstrzymać śledztwo, wypuścić więzionych i zaprzestać dalszych aresztowań. Po to przychodzę.

Kardynał patrzył na Łanowskiego, patrzył chwilę i parsknął śmiechem.

— Warjat! Szalony! — zawołał,

— Eminencjo — rzekł Łanowski — mylisz się. Ani warjat, ani szalony. Pamiętaj, że u ciebie byłem, przypomnij sobie, że jestem tym, który wypowiedział walkę Kościołowi. Nie byłem sam, ale spólnicy moi są daleko, a ja ich nie wydam, możesz mi wierzyć. Przyszedłem, aby ocalić ludzi niewinnie podejrzanych. Mogłem się być oddać w ręce policji, ale wolę, abyś to ty właśnie mnie jej wydał, a przytem chciałem ci pokazać: kto zwycięża?

Kardynał patrzył i słuchał widocznie oczom i uszom nie wierząc.

Łanowski zaś mówił:

— Ofiarowałeś mi fotel, gdy będę zmęczony — ale to ty, eminencjo, siedzisz na nim.

Kardynał zabębnił palcami po stole mimowolnie.

Oslabienie wstrzymało wybuch, — żyły wystąpiły mu na skronie, źrenice rozszerzyły się — równocześnie jednak na usta wystąpiła linja rozważli i myśli. Dyszał chwilę i ozwał się:

— A więc to pan uczyniłeś?!

Jego oczy tonęły w Łanowskim.

I przychodzisz zapobiec aresztowaniom?...

To wszystko jest nie do pomyslenia...

Niepodobna objąć... Nazywasz się?

— Bolesław Łanowski.

— Rosjanin? Anarchista?

— Polak. Wychowany w religji rzymsko-katolickiej.

— Katolik?!

— Chrzczony.

Kardynał oniemiał.

— Do spowiedzi chodzisz, pan? — zapytał nagle.

— W gimnazjum.

— Jakim czujesz się, pan, po komunji?

— Dopóki nie myślałem i nie czytałem: słodko i błogo.

— Co było pierwszą rzeczą, która cię zachwiała?

— Kwestja zupełnej całości ciała Chrystusowego w opłatku, o którą Ojcowie Kościoła spór wiedli.

— Nie rozumiem.

— Wszakże Chrystus urodził się wśród Żydów.

— Aha!

Kardynał umilkł znowu i znowu uderzył palcami po stole.

— W pańskiej głowie powstał plan wysadzenia katedry Sw. Piotra w powietrze, czy byłeś tylko wykonawcą? — zapytał po chwili.

— Ja plan powziąłem.

— Sam z siebie?

— Sam z siebie.

— Miałeś współników?

— Tak, lecz nie wydam.

— Nawet gdyby cię torturowano?

— Jestem sobie pewny.

— I przychodzisz ocalić niewinnie uwięzionych...

Myślisz że cię wydam?

— Poto przyszedłem.

Kardynał popatrzał badawczo.

— Zdaje mi się, że pan jesteś obłąkany i że

panu się śni. Wielkie katastrofy powodują podobne obłądki.

— Postawię świadków.

Kardynał wciągnął powietrze w piersi.

— Zatem nie zdradzisz pan współników zbrodni?

— Nie.

Moi towarzysze w idei są bezpieczni.

— Do diabła! — zawołał nagle kardynał. — Panie Łanowski! Wezwę ludzi i każę cię odprowadzić do prefektury policji! Zginiesz w więzieniu!

— Przyszedłem upewnić, że ludzie niewinnie posądzeni są aresztowani.

Kardynał zniżył głowę ku piersi i przymknął powieki. Długo rozważał snadź w milczeniu, aż zdźwignął znów głowę i odezwał się:

— Osłabienie fizyczne ułagadza umysł. Gdybym był zupełnie zdrow, pięścią ubiłbym cię na miejscu. Patrząc na pana, jak na dziwne jakieś, straszne, bezwiedne i bez uświadomienia obłąkane monstrum. W co pan wierzysz?

— W nic z tego, czego jakakolwiek religja kiedykolwiek uczyła.

Kardynał zabębnił palcami po poręczy fotela, na którym siedział.

— Lecz chciałbyś, pan, wierzyć, prawda?

— Tak jest, gdybym mógł.

— Nie masz, pan, poprostu daru wiary; ten można zyskać modlitwą.

— Do kogo?

— Ateizm, stara rzecz. Wiara jest łaską.

— Nie. Jest zdolnością z którą się człowiek rodzi, albo nie rodzi, jak do filologii albo do matematyki.

Kardynał roześmiał się mimowoli, Łanowski zaś mówił:

— Dość tych bogów na obraz i podobieństwo ludzkie. Nawet indyjski Kriszna, który powiedział „nic nie jest mi nienawistne i nic miłe“, nawet on żądał ofiar, pokory, oddania się, wyrzeczenia siebie.

— To jest prawo pana świata.

— A zatem gdzie jest wolna wola na świecie.

— Zawsze człowiek chciał Boga kochać i czcić, modlić się do Niego na kolanach i błagać Go o łaskę.

— Tak, tak! — zawołał Łanowski unosząc się. — Wyłudzać pochlebstwem! Płaszczyc się! I to jest miłe widziane — u dworu! O nieskończone bydlę ludzkie! Nie mogące sobie nic wyobrazić inaczej, jak tylko podług siebie! O podłe bydlę! W okrąg bóstwa mieszczące ministrów, namiestników, generałów, szambelanów i wojsko! A protekcja przez królową matkę i wielkie damy! Hierarchja, kastowość, stopnie! Ziemia! Ziemia! Ziemia! Odwieczna ziemia! Zarzucacie to, co nazywacie niebem, gruzami gliny, którą kopiecie ciężkimi motykami gminu! Czyż może w to wierzyć duch ludzki?!

Kardynał roześmiał się znowu.

— Człowiek Go wyobraża sobie na podobieństwo swoje. Nie może wyjść nad siebie, nad swoje zmysły, ale to Bogu nic nie szkodzi. Tak Bóg chciał, a niezbadane są wyroki Boskie.

Nie przerywaj, pan...

Oslabienie moje salwowało się w pierwszej chwili, a moja wola salwuje cię teraz i dopuszcza do tego, opętańcze, że pozwalam ci mówić. Wiem wszystko. Nie mieści ci się w głowie stworzenie świata, nie widzisz celu, nie pojmujesz dlaczego Bóg każe cierpieć, dlaczego, skoro jest wszechmocny i wiedzący, stwarza ludzi, z których jedni będą zbawieni, drudzy potępieni, owszem, z których jedni mają być zbawieni, drudzy potępieni, niepojmujesz, dlaczego Bóg stworzył grzech pierworodny, którego nie uznajesz, nie pojmujesz, że nie mógł innego środka na owo niepojęte ci Odkupienie z tego grzechu znaleźć, jak tylko każąc się Samemu Sobie rodzić jako Swemu Synowi w sposób niepojęty z kobiety i skazując Go na mękę i śmierć męczeńską; nie możesz pojąć wiecznej kary za doczesną zbrodnię, pogodzić pojęcia woli Bożej z wolną daną mu przezeń wolą człowieka. O Chrystusie wiesz, że przed Nim te same prawdy wygłaszali inni twórcy religii, a Trójca Święta to indyjskie trimurti, gdzie również znano i Niepokalane Poczęcie. Nie widzisz w tem, czego uczył Buddha, i w tem, czego uczył Mojżesz, nic, oprócz pewnych wskazówek etyki, pewnych koniecznych przykazań moralności i nauk życia, głównie dyktowanych zmysłem społecznym i higieną. I myślisz sobie, dlaczego symbolem, godiem świata ma być twarz cierpiąca, dlaczego ideałem twoim, jako chrześcijanina, ma być ktoś, co się dał miażdżyć,

a wzgardził wszystkim i wyrzekł się wszystkiego, dlaczego żydowski pesymizm, bo i to jest w twojej głowie, żydowski mistycyzm, żydowska zdolność egzaltacji i abnegacji, żydowskie pojęcie mściwego i żądającego Boga, ma tłumaczyć twoją duszę aryjską, obcą temu, duszę Appolina i Dionizosa, a nie Jehowy? To wszystko myślisz, wszak prawda? Świat wydaje ci się czemś zupełnie niezrozumiałym, jego pojmowanie przez ludzi rozpaczą wywołanym irracjonalizmem, rezultat wszelkich wiar i religij niegodnym dojrzałego ducha dzieciństwem, od proroków judejskich zaczawszy śmiesznym obłąkaniem przerażonej, zrozpaczonej duszy ludzkiej, a ja ci na to odpowiem:

Wszystko jest z Boga i wszystko od Boga pochodzi. Bożej tajemnicy nie sięgaj, mały, słaby, ograniczony, a pyszny człowieku! Pokora otwiera niebios! Pokornym być:—oto zadanie człowieka, prochu w ręce Pańskiej! I cóż ty, opętany fanatyku przeczenia, cóż ty na to miejsce postawisz? Zezwalam ci mów!

— Zezwalasz mi, eminencjo, książe kościoła, prawda, jestem w twojem ręku — odpowiedział Łanowski — a więc słuchaj!

Chcesz mego szczerego wyznania?

Nie wierzę w nic z tego, w co ludzie wierzą, nie rozumiem, jak można wierzyć! Myślę, że jeżeli jest Bóg, to On jest większy nad to wszystko, co ludzie o nim mówili! Bóg Żydów jest Bogiem swego Ja, zachłanności, wymagań, obrazy, kar i zemsty.

Bóg Hindusów w swej najwyższej boskiej postaci posiadający „wiele ust i oczu“, z „wieloma boskimi klejnotami na sobie“, pomimo „najeżonych kłami ust, pożerających kosmiczne epoki“, wraz ze swoją metempsychozą i panią Heleną Bławacką jest dziecinne bawidłem dziecinnych głów. Ten Bóg, w którego ja bym wierzył, gdybym mógł, jest wyższy ponad wszelką ludzką myśl, wszelkie pojęcie, wszelką wyobraźnię. Nic, co jest ze świata, z materji, nie dotyczy Go. Unosi się ponad wszystkim, nie „w sobie mając słońca, planety, księżycy i kosmiczne epoki“, ani też stwarzając świat, widząc, że jest dobry i odpoczywając po stworzeniu. Jest to Idea Ducha nie parająca się lepieniem lwa, małpy, kolibra, lub pchły, jak Jehowa czy Brahma. Nie potrzebuje pochlebstw, próśb, ofiar. Jest On wyższy nad materjalną myśl materji — — przeczuwać Go tylko można, lecz nie wie się o Nim nic, święte nic! O gdyby taki Bóg był! Lecz taki Bóg nie stworzyłby świata, a gdyby stworzył, stworzyłby inny, nie ten! Świeciłby jak słońce w dzień jasny nad prawem praw! Nie stwarzałby ludzi, aby nie rozumieli celu swego istnienia!

— Dosyć — rzekł Murri. — Pozwoliłem ci się wypowiedzieć, chciałem cię poznać. Badać cię nie każę. Pójdiesz wolny. Tyś targnął się na Świątynię, widać to po tobie! Jednak pójdiesz wolny! Abyś poznał do jakiego stopnia kościół nie dba, nie lęka się i pogardza tobą, robaku!

Kardynał, mimo osłabienia, zogromniał w purpu-

rowym gniewie, w majestacie swojej wspaniałej postawy.

Jak grom waliły się z ust jego słowa:

— Płazie! Robaku nędzny! Nędzarzu! Glisto zdradliwa u stóp moich! Wyrzutku piekieł! Parodjo Antychrysta! Wisielcze podły! Bydlę szalone i opętane! Precz!

— Precz! — powtórzył kardynał.

Łanowski porwał się z krzesła, lecz nie zdołał nic miażdżony przez kardynała, tylko z trudem przełamał kurcz w gardle.

— Zwycięzasz mnie, lecz czem? Jak zawsze: krzykiem i kłatwą! — wykrztusił.

— Precz! Głupcze szalony! Warjacie! Za próg! Dziś cię puszczam, abym jutro tem pewniej, tem silniej startł w proch i wdeptał w błoto ciebie i tobie podobnych, wyrzutku piekieł!

Pocisnął guzik elektryczny.

Wszedł kamerdyner.

— Ten człowiek wyjdzie — rzekł usiłując zapamiętać nad wzburzonym głosem. — Zawołać dorożkę!

Łanowski, czując, że mu się w oczach ćmi, zwrócił się i wyszedł.

Pozostał w Rzymie. Tu, w sercu, działać chciał dalej i tu spotkać kardynała Murrego, aby mu za zdeptanie nogą odplacić. Chęć odwetu, zmierzania się z tym przeciwnikiem przemożnym, rozogniała mu duszę, zapanowywała nad wszystkim innym.

Widział się pokonanym, pokonanym na całym polu. Targnął się na olbrzyma — ten Goljat nie widział nawet procarza u stopy swojej...

Pewnego dnia wyszedł na ulicę i udał się o zmroku na Forum Romanum. Tam leżały gruzy świątyń, tam leżała zwalona cała wielka religja najpotężniejszego z narodów. Ale kapłan, sacerdos, trwał, zmienił tylko szaty i formę obrządku. Tylko bogowie padli.

Zawiewał chłód od Aventynu i chłodził rozpaloną głowę Łanowskiego, gdy ujrzał on przed sobą, tyłem ku sobie zwrócone, dwie wysokie postacie. To byli oni. Ich dwoje.

To zejście się było potwornem.

Korecka, mówiła:

— Jutro odejdę... odjadę... na zawsze... Jak o łaskę prosiłam... mimo całej dumy mojej kobiecej... Niechcę odejść bez błogosławieństwa — — bez dobrej ręki — — bez dobrego słowa... Tak bardzo wierzyłam... Tak bardzo kochałam...

Głos jej się załamał. Schyliła się do ręki.

Łanowski zacisnął zęby. Ogarnęła go pasja. Nie myśląc co działa, wy dobył z pod płaszcza sztylet dla obrony i posunął się naprzód, lecz w tej chwili Korecka, snadź usłyszawszy ruch, odwróciła się i pchnęła Łanowskiego z widną stałą w rękę obu dłońmi w pierś, bez krzyku, z całą rasą swej natury. Murri zaś ugodził go pięścią w głowę tak potężnie, iż Łanowski padł wznak.

Murri pochylił się nad nim.

— Zabielem go, czym go ogłuszył? — rzekł.

— Na Boga! To on, ten sam! Znam go!

O Opatrzność Boska!

Dałaś mi go znowu w ręce przez niego samego!
To on! O nieprzewidziana Opatrzności! To ten!
Zwalca katedry!

Korecka pochyliła się, poznała i, zarzuciwszy
mantylę na głowę porwana wirami, uciekła.

Straszny, głośny, szyderczy, pełen pogardy
śmiej potężnej piersi męskiej pobiegł za nią.

* * *

Było ciepłe słoneczne popołudnie, gdy Korecka
znalazła się w Zatoce Gaetańskiej. Odnalazła dawne
miejsce kąpielni. Szybko zrzuciła suknie i bieliznę
i skoczyła w wodę.

Szafirowa fala przyjęła ją bryzgając dookoła.
Zapieniło się morze naokoło jej ciała i poczęło
ją unosić i kołysać na fali.

Pustka była na brzegach.

Woda muskała Korecką po piersiach, szyi,
grzbiecie i łędźwiach. Szum upajał ją. Poczęła plynąć.
Odróciła się twarzą ku słońcu, które gorące
popołudniowe promienie na nią zsyłało i dała się
fali chybotać, jak łódź bez wiosła i steru.

Straciła myśl, pamięć, czucie.

Jej oczy i uszy stały się jakby harfą jakąś, na
której jej dusza grała melodię swoją, niewygraną
w życiu. Czuła, że otwiera się w jej duszy niezna-

na kraina, kraina baśni, cudów, nieśmiertelnej
piękności.

Było to jakby zachwycenie jakiegoś — — z ze-
wnątrz? czy wewnątrz?

Wszystko istotnie stało się jej niezmiernie da-
lekie.

Uczuła całą błogość, całe szczęście oddalenia
się od życia.

Poznała, jak ogromna radość jest nie mieć z ży-
ciem nic wspólnego.

Zanurzyć się samotnie w ciepło, w ciszy, w jas-
ności, w nieograniczonym rozlaniu się świata...

Opłynęła ją swoboda nieograniczona, nieskoń-
czona, bezbrzeżna...

Wydało jej się, że jej oczy tak są wspólnie zje-
dnoczone z niebem, że wspólnie z niem świecą słoń-
cem i rozsnuwają błękitne milczenie przestrzeni.

Wtopiła się w błękit, jak kamień szafiru, który-
by upadł w morze.

Zwolna, zwolna, jakby zasypiała. Przez przy-
mknięte powieki ledwo wnikało światło, tylko ciepło
słońca mile dotykało skóry.

Okolo niej był tylko żywioł, któremu się odda-
ła. Nie było nic, ani uczuć, ani myśli, ani woli, ani
żądzy, ani pragnień, ani pokus, ani kary, ani nagrody,
ani zasługi ni winy, ani bólu, ani rozkoszy, ani szczę-
ścia, ani cierpienia, ani rozpacz. Ogarnęło ją jakoby
olbrzymie łono matki usypiającej kołysaniem dziec-
ko. Fale grały koło niej hymn światła i ciszy. Gra-
ta wydała się Koreckiej czemś świętem, nieprze-

niknięcie, niezgłębienie świętem, poważnem uroczystem i czystem. Nie mąciło jej nic człowieczego. Jakoby w chór białych obłoków, szafirowego morza, błękitnego nieba i promiennego grzejącego słońca czuła się włączoną. Wpłynęła w grę fal, zespoliła się z nią, zjednoczyła. Jest jedną z nich — falą w grze fal... — — poniosły ją płynące fale...

Podówczas czytał Toszcyński długą depezę wręczoną mu nad jeziorem:

Przyjacielu! Gdy czytać będziesz te wyrazy, mnie już nie będzie. Gdzie będę? Przegrałam partję. Wszystko, ku czemuś ty mnie wiódl i czego ja sama pragnęłam: załamało się. Gdzie spodziewałam się znaleźć żar sprawiedliwości, znalazłam zimną rachubę; gdzie ilość — znalazłam ustępstwo przed mocą; gdzie współczucie — znalazłam lekceważenie słabych. Ale znalazłam jedno: konflikt chaosu życia, splot Laokoonowych węzów. Niechęć mię bierze, odsmak... Znużyłam się... Upaja mnie myśl o płonących falach nicości... Życie jest huraganem, który wiruje ludźmi, jak liśćmi. Przybądź nad zatokę Gaety i szukaj duszy mojej, Vale, amice! Bądź zdrow! Fatalizm.

Dorota Korecka.



284442

JACK LONDON

W przekładzie Stanisławy Kuszelewskiej, Jerzego Bohdana Rychlińskiego i Michała Gabrjela Karskiego.

Syn Słońca	4.20
Bóg Ojców Jego	4.20
Odszczepieniec	4.20
Na szlaku	4.—
Martin Eden, 2 tomy	9.—
Opowieści Mórz Południowych	4.20
Serce Kobiety	4.20
Prawo Białego Człowieka	3.—
Odyssea Północy (w druku)	—
Wilk morski, 2 tomy	6.—
Zew Krwi	2.—
Przygoda (w druku)	—

Następne tomy w przygotowaniu.

ANDRZEJ STRUG

Odnaka za wierną służbę	2.60
Pieniądz	5.20
Mogiła nieznanego żołnierza	5.20
Kronika Świeciechowska	4.—

E. WENDE i S-ka

WARSZAWA, KRAK.-PRZEDMIEŚCIE 7/9.

Krytyka o Londonie.

Kurjer Poznański: Nazwisko autora zbyt znane jest w całym kulturalnym świecie, by o wartości dzieł jego osobno pisać trzeba było.

Gazeta Warszawska: Żałować należy, iż w Polsce tak mało mamy przekładów Jacka Londona, autora pełnego siły, odrębności i wyrazu.

Rzeczpospolita: Tłumaczymy i czytamy dzieła Londona, bo naprawdę zasługują na to.

Wiek Nowy: Na powojenną nudę i szarżynę europejskiego życia awanturnicze przygody Londona działają jak napój podniecający. Uderzają wprost do głowy.

Kurjer Polski: Lektury takiej — lektury zdrowia i ludzkiej wiary we własne człowieczeństwo, społeczność nasza potrzebuje gwałtownie, jako słonecznego antidotum siły przeciw bajdom rozkładu i słabości, któremi tak długo żywi już nasza literatura młodych i starych.

Kurjer Warszawski: Z jakąż rozkoszą weźmie dzisiaj do ręki każdą jego książkę żołnierz czy marynarz polski, który w życiu czy na morzu zakosztował już niebezpieczeństw i poznał, że istotą życia stanowi nieustanne zmaganie się człowieka z przyrodą i człowieka z człowiekiem.

Polska Zbrojna: Zdaje mi się, że w twórczości polskiej tylko jeden Sieroszewski mógłby w części wytrymać porównanie z Londonem...

Biblioteka Groszowa Wendego.

Pragnąc uprzystępnąć jak najliczniejszemu czytelnikom możliwość nabywania taniej i dobrej książki, postanowiliśmy, pomimo ciężkich warunków wydawniczych, wydawać „Bibliotekę Groszową Wendego”, której każdy tomik będzie kosztował zaledwie 95 groszy, a więc dostępny będzie niemal dla każdego.

„Biblioteka Groszowa Wendego” poza wartościami utworami piśmiennictwa polskiego autorów tej miary, co J. I. Kraszewski, A. Dygasiński i inni, obejmie szereg utworów literatury obcej, francuskiej i angielskiej na pierwszym miejscu. Ukażą się mianowicie, jako tomy „Biblioteki Groszowej Wendego”, nieporównane i pełne głębokiego artyzmu dzieła Josepha Conrada (Korzeniowskiego); pociągające egzotycznym tłem, bezpośredniością i barwnością utwory Jacka Londona; oryginalne i przeniknięte nawskroś głęboką filozofją katolicyzmu dzieła G. K. Chestertona; arcydzieła subtelnego znawcy duszy ludzkiej Guy de Maupassant'a i t. d.

Pomimo niezmiernie niskiej ceny tomów „Biblioteki Groszowej Wendego”, pragniemy, aby owa tania książka w niczem nie ustępowała wydawnictwom droższym; dlatego też każdy tom cechować będzie nietylko staranny wybór ciekawej i wartościowej treści, ale również i wysoki poziom przekładu, wiernie oddającego w języku polskim walory artystyczne oryginału, oraz wielka dbałość o estetykę wyglądu zewnętrznego książek.



Cena zł.

<i>Caine Hall</i> — Kozioł ofiarny — powieść, str. 287. . . .	3.90
<i>Chesterton G. K.</i> — Napoleon z Notting-Hill — powieść, str. 288	4.80
<i>Conrad J. (Korzeniowski)</i> — Fantazja Almayera — po- wieść, str. 212	5 —
— Murzyn z załogi „Narcyza” — powieść, str. 214	5.50
— Sześć opowieści — nowele, str. 311	7.50
— Między ładem i morzem — nowele, str. 268	6.—
<i>Erenburg I.</i> Juljo Jurenito — powieść, str. 397	6.—
<i>Grubiński Wacław</i> — Lwy i św. Grojnosław — nowele, str. 177	4.20
<i>Iwaszkiewicz J.</i> — Hilary syn buchaltera — powieść, str. 178	3.50
<i>Kaden-Bandrowski J.</i> — Przymierze serc — nowele, str. 243	4.—
<i>London J.</i> — Bóg Ojców Jego — nowele, str. 196	4.20
— Martin Eden — powieść, 2 tomy, str. 327 i 289	9.—
— Na szlaku — nowele, str. 236	4.20
— Odszczepieniec — nowele, str. 163	4.20
— Odyseja północy — nowele, str. 253	4.—
— Opowieści mórz południowych, str. 245	4.20
— Prawo białego człowieka — nowele, str. 152	3.—
— Serce kobiety — nowele, str. 251	4.20
— Syn słońca — nowele, str. 262	4.20
— Wilk morski — powieść, 2 tomy str. 270 i 244	6.50
— Zew krwi — powieść, str. 136	2.—
— Przygoda — powieść	4.80
<i>Maupassant G. de</i> — Życie — powieść, str. 303	4.50
— Piotr i Jan — powieść, str. 186	3.—
<i>Samozwaniec M.</i> — Na ustach grzechu	2.40
— Malowana żona	3.—
<i>Strug A.</i> — Mogiła nieznanego żołnierza — powieść, str. 411	5.20
— Odznaka za wierną służbę, str. 118	2.60
— Pieniądz — powieść, str. 459	5.20
— Kronika Świeciechowska — nowele, str. 246	4.—

prosimy wyliczać

List zwrotny

DO KSIĘGARNI E. WENDE i S-ka

w Warszawie,

Krak. Przedm. 9.

Upraszam o łaskawe nadsyłanie w miarę
ukazywania się

12 tomów Biblioteki Groszowej Wendego

począwszy od №

Należność w kwocie Zł. 9.95 przesyłam
jednocześnie przekazem (P. K. O. 137) proszę
pobrać za zaliczkę *).

Imię i nazwisko

Adres

*) Wyrazy niepotrzebne proszę wykreślić.

Zamówienie księgarskie.

Do księgarni E. Wende i S-ka

w Warszawie,

Krak. Przedm. 9.